

# WOLNY

"Každy /.../ Człowiek ma prawo nie tylko kultywować, lecz również tworzyć własną kulturę, religię, światopogląd, własny etos życia."

PISMO RUCHU ALTERNATYWNEGO ROK XXX NR 52 GDAŃSK 17 PAŹDZIERNIKA 2013



PISMO BEZPŁATNE

**“Homek” jest pismem gdańskiego Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, najstarszej polskiej grupy anarchistycznej. Powstał we wrześniu 1983 i istniał do 1994 (nr 51), kiedy to został zastąpiony przez inne nasze pisma. Dziś wychodzimy ponownie, już nie jako nielegalna bibuła tylko jak najbardziej oficjalne wydawnictwo - jednodniówka obchodów 30-lecia powstania Ruchu. Numer niniejszy jest zbiorem tekstów ludzi związanych przed laty z RSA (do tego trochę zdjęć i dokumentów), mających na celu przypomnienie czy pokazanie młodszym czytelnikom, czym Ruch był... Życzymy lektury! ☺**

Krzysztof Skiba

## RSA CZYLI... WOLIMY ROWERY NIŻ T-34

Gdy generał Jaruzelski wprowadził w stanie wojennym czołgi na ulice mieli po 17-19 lat. Byli w wieku poborowym i nikomu z nich nie uśmiechało się odbywanie służby w wojsku, które jest wykorzystywane do rozprawy ze społeczeństwem. XXX lat temu powstał w Gdańsku Ruch Społeczeństwa Alternatywnego (RSA). Pierwsza organizacja po wojnie jawnie odwołująca się do anarchizmu.

W Polsce istnieje nabożny stosunek do wojska. Wojsko to zawsze byli „nasi chłopcy”. Nawet wówczas, gdy żołnierze strzelali do robotników w grudniu 1970, społeczeństwo chciało wierzyć, że to robota znienawidzonej milicji. Przez lata zaborów, pozbawieni własnej armii, Polacy wychodowali sobie w genach szacunek do wojska, bo własne wojsko to zawsze znaczyło „szansa na niepodległość”. I w powszechnym wyobrażeniu nie liczył się fakt, że w LWP jeszcze w latach 60-tych pełno było rosyjskich oficerów, a cała armia w PRL od zawsze pełniła rolę służebną w stosunku do „zaprzyjaźnionych” wojsk radzieckich. Przasna mądrość głosiła, że wojsko to jest szkoła życia, którą powinien przejść każdy prawdziwy mężczyzna. „Wojsko robi z ciebie faceta” - głosili fałszywie ci, którzy przeszli już ten cyrk upokorzeń i zbiorowy kurs zginania karku.

Po zdławieniu „Solidarności”, które zaczęło się 13 grudnia 1981 i wprowadzeniu rządów dyktatury wojskowej, te ludowe porzekadła z dnia na dzień stały się dla wszystkich martwe, głupie i nieprawdziwe. Po tym jak czołgi masowo rozwalaly bramy strajkujących zakładów pracy, ciężko było mówić o żołnierzach „nasi chłopcy”. Naród co prawda karmił się fantazyjnymi opowieściami jak to podobno oficerowie masowo odmawiają wykonywania rozkazów, a szeregowi żołnierze nie chcą uczestniczyć w operacjach przeciwko robotnikom. Były to bajki i opowieści „ku pokrzepieniu serc”. W stanie wojennym nie odnotowano znaczących incydentów związanych z odmową wykonania rozkazu. Elementy niepewne zostały w wojsku na długo przed akcją generała Jaruzelskiego odpowiednio spacyfikowane.

Główna nienawiść społeczeństwa kierowała się przeciwko oddziałom ZOMO, ale zakorzeniona sympatia do armii nie wytrzymała już konfrontacji ze smutną rzeczywistością. Wojskowi masowo pojawiali się w zakładach pracy (tzw. komisarzy, którzy mieli zarządzać gospodarką w systemie nakazowym) oraz w radiu i telewizji (tu pełnili nie tylko rolę strażników, ale także oddziaływali psychologicznie i propagandowo). Tego rodzaju formy swoistej militaryzacji życia społecznego nie mogły się podobać. Wojsko traciło szacunek, a wśród młodzieży stało się czymś, co należy omijać z daleka. Młodzi ludzie, którzy w 1983 roku założyli w Gdańsku pierwszą grupę RSA, w obliczu wizji przyszłego poboru do wojska, w sposób niejako oczywisty stali się radykalnymi antimilitarystami. Stąd już blisko było im do ideałów anarchizmu (a te przyszły po głębokich lekturach klasyków myśli rewolucyjnej, którzy w państwie widzieli nie organizację życia tylko oprawę).

Głoszony w manifestach, ulotkach i konspiracyjnym piśmie RSA „Homek” postulat „zniesienia przymusu służby wojskowej” wywołał niepokój także po stronie „solidarnościowej”. W kręgach poważnej opozycji uznano to za postulat nierealny, a nawet szkodliwy. Oczywiście uważano, że armia opanowana przez komunistów to absolutne zło, ale armia opanowana w przyszłości przez patriotów to będzie istne чудо.

W takim obiegowym żarciku opowiadano sobie nawet jak to ukrywający się działacz podziemia „Solidarności” Zbyszek Bujak wielokrotnie uciekał skutecznie przed esbekami, bo był kiedyś w wojskach powietrzno-desantowych czyli był komandosem. Wojsko nauczyło chłopaka jak zwiewać przed milicją! Czyli, że wojsko (nawet komunistyczne) na coś się jednak przydało. Młodzi ludzie w latach 80. nie mieli złudzeń, że wojsko może ich cokolwiek nauczyć poza tępą musztrą. Była to szkoła indoktrynacji, często służąca także do łamania kręgosłupów moralnych co bardziej niezależnie myślącym osobnikom. W wojsku wszystkich „innych” się prostowało. Jeżeli w cywilu byłeś hipisem, punkiem, rastamanem lub po prostu bardziej wrażliwym odmieńcem (nie mówiąc już o posiadaniu jakiejś karty opozycyjnej) to w wojsku mogłeś liczyć na specjalny wycisk. Buntownicy trafiali do specjalnych jednostek karnych, gdzie bywali widowiskowo gnębieni. Wiele osób poprzez masowe stosowanie takich praktyk okaleczono psychicznie i fizycznie. Oddziały szpitalne dla psychicznie i nerwowo chorych pękały w szwach i miały specjalne oddziały dla pacjentów z wojska.

Dla mojego pokolenia stało się jasne, że do takiej armii w dodatku całkowicie podporządkowanej władzy generałów z ZSRR (w przysiędze wojskowej była mowa o wierności „socjalistycznej ojczyźnie” i bratnim sojuszom z Armią Czerwoną) nie chcemy iść. Piszę o tym dlatego, żeby wyjaśnić, że ten anarchizm RSA nie wziął się z jakiejś młodzieńczej fanaberii i miał swoje istotne przyczyny. RSA było bardzo radykalne w swych poglądach. Dopingowało podziemie solidarnościowe do bardziej radykalnej walki z komunizmem. Krytykowało kierownictwo „Solidarności” za zbyt ugodową postawę w stosunku do władz. Wreszcie RSA samo organizowało manifestacje, zadymy, akcje ulotkowe. Taką szczególną akcją było rozbicie rządowej manifestacji w dniu 1 maja 1985 roku w Gdańsku, gdzie za sprawą czynnej i bezkompromisowej postawy działaczy RSA doszło do kilkugodzinnej walki z ZOMO na ulicach miasta.

Po jakimś czasie doszliśmy jednak do wniosku, że rzucając kamieniami nie rozwiąże się żadnego z problemów społecznych czy politycznych. Wielu działaczy RSA przystąpiło do pacyfistycznego Ruch „Wolność i Pokój” (WiP powstał w 1986 roku) i rozwinęło w nim skrzydła. Bliskie nam były ideały walki o prawa człowieka, ideały tolerancji, niezgoda na ksenofobię i rasizm. To właśnie RSA i WiP jako pierwsze tak uporczywie nagłaśniały i zwalczały wszelkie postawy faszystowskie. W latach 80.

wielokrotnie działacze RSA oskarżani byli przez "prawdziwych patriotów" z kręgów podziemia o to, że są sterowani przez SB, że są "Żydami", a walcząc o "zniesienie przymusu służby wojskowej" osłabiają "ducha narodowego". Co do sterowania przez SB to zachowane dokumenty w teczkach IPN (Sprawa Operacyjnego Rozpracowania "Alternatywa") świadczą o tym, że RSA była jedną z najmniej rozpoznanych i infiltrowanych grup opozycyjnych lat 80. RSA to oczywiście nie tylko zbuntowany Gdańsk. W ciągu kilku lat powstało wiele podobnych grup w Szczecinie, Poznaniu, Warszawie, Krakowie i Zamościu. Wraz z rozwojem i szeroką aktywnością antysystemową Ruchu wielu działaczy RSA trafiło do więzień (np. Janusz Waluszko, Zbigniew Stybel, Darek Marciniak, Krzysztof Galiński, Wojtek Jankowski, Piotr Makoś, Krzysztof Grynder, Krzysztof Skiba i wielu innych). Niektórzy byli poszukiwani listami gończymi. Jako aktywiści WiP-u byliśmy systematycznie zatrzymywani na "48 godzin".

RSA było pierwszym ugrupowaniem opozycyjnym, które działało aktywnie w środowiskach kontrkultury. W

Gdańsku słynna performerska grupa Totart współpracowała ściśle z RSA. Rozrzucanie ulotek na koncertach rockowych SB uważało w swych raportach za "specjalność RSA". Jako pierwsi zainicjowaliśmy także "niezależne zloty młodzieży kontrowersyjnej" zwane Hyde Parkami, które były czymś w rodzaju opozycyjnych festiwali kultury.

Z okazji zupełnie zapomnianej historii RSA i rocznicy jego powstania, warto być może zauważyć, że mimo swego młodzieńczego radykalizmu, a także niezbyt imponującej liczebności uczestników Ruchu, wiele "nierealnych" postulatów RSA ostatecznie zostało po latach zrealizowanych. Najpierw w 1988 roku wprowadzono (także dzięki akcjom WiP) możliwość odpracowania służby wojskowej. W 1990 roku dzięki naszym masowym protestom zaniechano budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu, a kilka lat temu zniesiono powszechny pobór do wojska budując armię zawodową. To dużo jak na "nierealne" marzenia. Jak widać warto je mieć i warto o nie walczyć. Także dziś, gdy zalewa nas fala brunatnego, prawicowego błota, ogłupionego tanim i ślepym patriotyzmem.

Gal

## ZAWSZE WIERNI

25 lat temu powstała w naszym mieście formacja o nazwie Platforma Inicjatyw Wegetariańskich. Pomysł jak na owe czasy bardzo nowatorski. Koncentrowaliśmy się na prawach zwierząt i propagowaniu zdrowego stylu życia bez mięsa i bez używek.

Spontaniczna, oddolna inicjatywa młodych ludzi rozrastała się bardzo dynamicznie. Był czas kiedy PIW działał w każdym większym mieście. Odnieśliśmy parę spektakularnych sukcesów. Oprócz zmian fatalnych przepisów związanych z ubojem i przewozem zwierząt, udało nam się przebić do świadomości sporej części ludzi w kraju z przekazem, że „zwierzę nie jest rzeczą”.

Zamiast etatów i hierarchii był entuzjazm i bezinteresowna chęć działania. Jednak po 5 latach sytuacja w kraju się zmieniła, polityczne zawirowania pociągnęły nas w różne strony. Ruch przestał istnieć.

Pomysłodawcą spotkania po latach był Marcel, dziś właściciel solarium, kiedyś czołowy aktywista Ruchu. Jedno z pierwszych spotkań odbyło się w wegetariańskim barze „Oliwka” należącym do naszej koleżanki z Ruchu, Oli. Przyszliśmy do niej we trójkę Marcel, Kubuko (noszący taką ksywę z powodu fascynacji Afryką) i ja, Gal, przezwisko związane z zakładem galwanotechnicznym mojego ojca.

- Jak już ci mówiłem przez telefon, jednak nie zrobimy tego u Ciebie - zaczął już na wstępie Marcel. - Twój bar jest za mały, a tu trzeba przygotować sporo posiłków.

- No, proste dania dam radę zrobić sama, a spotkanie może się odbyć w ogródku - wymamrotała Ola. - Nie, nie, ludzie są przyzwyczajeni do pewnych standardów. Poza tym sama wiesz, część z nas, właściwie już chyba wszyscy, je mięso, no i alkohol, a ty nie masz koncesji, zrobimy to w „Casablance”, obok jest motel „Rodeo”, to wszystko już nagrywam.

Ola nie zareagowała, zaczęła zamiatać. Marcel ciągnął - Wysłamy też zaproszenie do Kapuśniaka, a on ze względu na pozycję potrzebuje bardziej, no, komfortowej oprawy... Będą dziennikarze...

- Kapuśniak?! Ale... - Ola przełknęła ślinę i spojrzała na nas ze zdziwieniem. - On jest prezesem Meat Pulpets.

- No i co z tego? Odnioś sukces, a to nie jest powód do wstydu - powiedział stanowczo Marcel.

- Prowadzi największą rzeźnię i hurtownie mięsa w kraju! No i ta ostatnia afera w ubojni...

- Oli drżał głos.

- Nieważne kim jest teraz, ważne kim był, gdy działaliśmy razem - w głosie Marcela slychać było irytację.

- Jest częścią tego, co kiedyś razem robiliśmy - dopowiedziałem.

- Z góry skazujesz człowieka - trzeźwo zauważył Kubuko. Ola wstała i zaczęła wycierać nerwowo noże.

- Rozumiem, robimy zjazd, ogłaszamy, że chcemy spotkać się po 25 latach, ale specjalne wysłanie zaproszenia do szefa największego koncernu przemysłowej hodowli zwierząt... to jakiś obłąd.

- Dość kuriozalnie ortodoksyjna postawa jak na kogoś, kto jada krewetki - przerwał jej Kubuko.

- Dajcie spokój - Marcel poprawił sobie okulary lenonki. - Zjazd to okazja do rozmów, można osobiście spytać Kapuśniaka o te jego oszczędności przy ogłaszaniu i transporcie bydła, o te tzw. niehumanitarne metody itd.

- To nie tak! - krzyknęła Ola. - Właściwie to nie obchodzi mnie Kapuśniak, on zresztą i tak nie przyjedzie. Po prostu... teraz mi to uświadomiliście, po co nam to spotkanie, jeśli wyszły z nas Kapuśniaki!? Nie ma czego świętować, no, stypę można zrobić i to lepiej po cichu. Czym dalej jesteśmy od tego, w co wierzyliśmy kiedyś, tym bardziej są nam potrzebne jakieś stygmaty, dyplomiki fiki-miki. Wiecie co? Olejmy ten zjazd. I weź zgaś tego peta, do cholery! - wydarła się na Kubuko, który natychmiast wciągnął ostatniego macha i zgniół peta obok zapiekanki.





- Ola, nie wszyscy ludzie są tacy jak ty - Kubuko trzymał już w dłoni kolejnego papierosa, ale go nie zapalał. - Wyobraź sobie, że są ludzie, których cieszy przyjaźń i każda radosna okazja do spotkań. Ja lubię Ciebie, Kapuśniaka, Marcela. Dzielenie na lepszych i gorszych to początek każdej wojny, ja nie mam zamiaru się wywyższać i udowadniać jakiejś moralnej przewagi nad innymi tylko dlatego, że ich życie toczy się inaczej niż moje. Poza tym, zawsze miałem gdzieś napuszczoną ortodoksję.

- No, mi Ola po prostu wstyd za ciebie - powiedział Marcel. - Staramy się jak możemy, przeznaczamy swój prywatny czas. Wiesz, ile mnie nerwów kosztuje bieganie przy zjeździe? A sprawa pomnika, N A S Z E G O pomnika... wiesz, ile to pracy?

Jednak widać było, że z Olą się już nie dogadamy - znaliśmy ją od lat. Gdy wyszliśmy, było dla nas jasne, że ostatnie niepowodzenia sercowe, czyli skończony romans z kucharzem z Wietnamu, zaburzył zdrowy rozsądek naszej koleżanki.

- Nikt jej nie dymie, dlatego baba ma problemy - jak zwykle trafnie podsumował Kubuko.

Następne dwa miesiące to prawdziwa kołomyja. Trochę zamieszania było z samym projektem pomnika. Jednak dzięki znajomości Marcela udało się nawiązać kontakt z holenderskim artystą, który zaprojektował coś na miarę naszych oczekiwań.

Jeszcze w trakcie załatwiania środków na pomnik z puli Urzędu Marszałkowskiego, zadzwoniła Ola z pytaniem, czy nie dałoby się przekazać jakichś pieniędzy na schronisko dla psów, które właśnie ma spore kłopoty z remontem kanalizacji. Z racji, że schronisko nie ma nazwy za wsparcie moglibyśmy zaproponować im swoją nazwę np. „Schronisko PIW - 25”. Marcel dostał szału - Altruistka za cudzą kasę - wrzeszczał. - Dupska sama nie ruszy, ale ma pomysły i rady dla innych!

Miał rację, bo pomnik w środku miasta to jest faktycznie coś! Zostawia ślad. Nasz ślad. Jest to coś, co będzie trwało, natomiast łatanie dziur budżetowych psiej budy na zadupiu to amatorszczyzna.

Wokół przygotowania imprezy biegał głównie Marcel i ja. Kubuko nie mógł, bo zawsze wiosną intensyfikuje treningi na deskorolce, ale obiecał, że na samą imprezę przyjedzie.

Odzew naszych obchodów przeszedł nasze oczekiwania. Byli oficjele, prasa lokalna pisała fajne teksty, były dwie audycje w radiu. Pewien rockowy zespół planuje nagrać klipa z piosenką o nas.

Na koniec przywołam fragment przemówienia wygłoszonego podczas odsłonięcia pomnika:

Mijają lata, przybywa siwych włosów. Jesteśmy jednak plemieniem, którego członkowie wierni są swoim ideałom bez względu na to, w jakim są wieku, gdzie pracują i do-

kład rzucił ich los. To czego nauczyło mnie wspólne działanie w PIW-ie, to odkrycie prawdy, że świat jest jeden dla wszystkich, że otworzenie się na innych, na wszystkie żywe istoty jest darem. Zamykanie się w zapiekłej niechęci do różnorodności, odrzucanie wartości związanych z tolerancją - to klęska.

Nasz przyjaciel Kubuko, znany nam wszystkim z umiłowania kultury Pigmejów, podarował mi bębenek - ha, ha - jak zwykle szalony - Bwanakumba Kubuko! - Otóż dźwięk bębena jak zegar uzmysławia nam przemijanie. 25 lat to szmat czasu - ale my nadal potrafimy, jak widać na tym placu, powiedzieć NIE przemocy wobec bezbronnych i wykrzyknąć TAK Życiu. Jest to trudna droga, ale przyzwyczailiśmy się, że to, co wartościowe, nie przychodzi z łatwością. Niech nazywają nas bandą świrów. My wiemy - by żyć godnie, trzeba żyć w prawdzie! My stawiamy na Życie! Przyjaźń i Miłość. I tego symbolem jest ten wspaniały pomnik!

Mowę wygłosił Andrzej Pietras. Obecnie w zarządzie gorzelnii Strych-Pol S.A. Podobno ma zostać prezesem oddziału makaronów MIXI-DURAN.

Była też Ola. Stojąc na rynku, ze swoim napisem „Meat Pulpets - to śmierć” namalowanym na kartonie po kostce sojowej, wyglądała żałośnie. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Dzięki Kubuko wszyscy wiedzieli o jej nieudanym związku z kucharzem z Wietnamu. Kubuko nawet podszedł do niej i powiedział, że jest mu przykro, że nie potrafi wyzbyć się nienawiści i w akcie dobrej woli dał jej kadzidełko (w czasie imprezy odsłonięcia rozdawaliśmy przechodniom ulotki z historią PIW-u i kadzidełka).

Kapuśniak przysłał listowne podziękowanie za wpisanie go na listę honorowych członków obchodów. Bardzo nas ten jego pozytywny odzew ucieszył, bo pojawił się pomysł, by ruszyć jakieś stowarzyszenie czy fundację PIW-u.

Na drugi dzień po naszej uroczystości było święto Bożego Ciała. Z kościoła na rynku, przy którym stał nasz pomnik, wyszła procesja. Wierni, w tym wóldarze naszego miasta, szli i śpiewali, a dziewczynki rzucały kwiatki. Ksiądz kroczył dostojnie z monstrancją, i o dziwo, pomimo baldachimu, słońce odbijało się od niej niezwykle intensywnie. Gdy procesja przechodziła obok naszego pomnika, niebieskiego baranka ze skrzydłami gołębiczy na sprężynie z pleksiglasu wystającej z ogromnej znakomicie poniklowanej kuli (symbolizującej naszą planetę), czułem dumę, że oto znów w życiu udało nam się zrobić coś dobrego.

Już niedługo będziemy obchodzić 30 rocznicę zaprzyjaźnienia z nami Ruchu Społeczności Abstynentów. Włącz się w obchody na pewno...



Krzysztof Skiba

## TABLICA

Piotrek Sadowski był kolegą z podstawówki Jasia Waluszki. Znali się z przerw jak wszyscy. Był od niego starszy, rok, czy dwa. Po podstawówce nie poszedł do liceum tylko do szkoły zawodowej. Gdy ja byłem rok przed maturą, a Jasiu jako starszy, był już na pierwszym roku prawa, Piotrek Sadowski został pracownikiem Portu Gdańskiego. Wiadomo - zawodówka nie ciągnie się tyle, co liceum. Dwa lata szkółki i do roboty. W liceum turlało się wówczas wiedzę cztery lata.

Słowo "pracownik" wymyślono chyba po to, by ludzie mogli poczuć się nieco lepiej w swoich przydziałach jakie zafundował im los. Jesteś na przykład "pracownikiem Uniwersytetu Gdańskiego" a tak na prawdę zmywasz tam kible. Tak było za komuny i tak jest dziś. Słowo "pracownik" bezboleśnie przeszło weryfikacje w 1989 i nikt mu nie zarzucił podejrzanych związków z komuną. Ktoś jest sadystą i pałuje ludzi w trakcie przesłuchań, ale oficjalnie jest "pracownikiem resortu bezpieczeństwa". To się sprawdziło w dwóch ustrojach.

No więc Piotrek Sadowski nie był pracownikiem biura czy dyrekcji portu. Był robotnikiem. "Robotnik" to takie określenie ze starej broszury KOR-u, ale trochę też z Trybuny Ludu (choć tam woleli "masy pracownicze" ewentualnie "lud pracujący miast i wsi"). Dziś trudno w to uwierzyć, ale po strajkach sierpniowych w 1980 robotnicy w oczach reszty społeczeństwa (a może tylko w oczach inteligencji?) byli jakby ulepiani z nieco lepszej gliny. Przez lata robol to był taki co przepija wypłatę w dwa dni. I po Sierpniu to się zmieniło. Robotnicy byli jak rycerze. Jak dobrzy kowboje, którzy pogonili kota łajdakom. Jak wszyscy ci faceci z filmów, którzy stają po stronie dobra i mimo, że są bez szans - wygrywają.

Co więcej, w pewnych kręgach wybuchło coś w rodzaju "mody robotniczej". Moda ta wyrażała się pewnym zestawem gestów, który miały świadczyć o zbliżeniu świata kultury ze światem robotników. Awangardowe w formie i treści teatry studenckie, takie jak kontestujący Teatr Ósmego Dnia czy Teatr Provisorium, a nawet mocno metafizyczna w swych poczynaniach teatralnych Grupa Chwilowa zagrały w Gdańsku serię spektakli pod tytułem "Teatr Studencki Robotnikom". Tadeusz Kantor na spektaklu "Wielopola" przywitał się wylewnie z przedstawicielem robotników Andrzejem Gwiazdą. Ten geniusz teatru i wielki kabotyn nigdy nikogo tak nie witał. Tak, to zapewne dawało do myślenia. Jako zbuntowany młody człowiek, licealista sam nosiłem się nieco na "robotniczo". Miałem czarną czapkę kolejarza, ale bez dystynkcji i głupkowatych znaczków PKP. Do tego nowiutką, niebieską kufajkę (!) z punkowymi znaczkami, czerwony szalik i wąskie czarne spodnie. Na nogach ciężkie czarne buciory. Wyglądałem jak skrzyżowanie Johnny Rottena z Lwem Trockim. Nawet język polski potoczny poddał się fascynacji robotniczej. Przez krótki moment nikt nie używał w Polsce określeń takich jak "robol" czy "prolet". W tym mniej więcej czasie Piotrek Sadowski został robotnikiem, a jego dawni koledzy tylko "inteligentami" z liceum.

Stan wojenny. 31 sierpnia 1982 roku w całym kraju wyczołyły się na ulice demonstracje protestujące przeciwko rządowi generałów. W Gdańsku tłum jak zwykle zebrał się pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców. ZOMO rozganiało demonstrantów lejąc wodę i strzelając gazami dusząco-łzawiącymi. Piotrek Sadowski uciekał przed ZOMO i padł na mostku przy ulicy Stolarskiej nieopodal hotelu



Heweliusz. To jest jakieś czterysta metrów od Stoczni. W tym miejscu Radunia ma swój nie do końca malowniczy kanał. Ulice łączą małe mostki. Ten mostek jest wyjątkowo mały. Zawsze mijałem go idąc do "Jedynki". Krążyły różne opowieści. Przede wszystkim, że spałowało go ZOMO. Wiele osób tego dnia spałowano więc było to możliwe. Inni twierdzili, że dostał petardą w głowę. Ta wersja utrzymywała się najdłużej. Gdy Piotrek przywieziono do szpitala miał uraz głowy. Jednak bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie się gazami. Piotrek padł na tym mostku i stracił przytomność. Niektórzy twierdzą, że uciekając przed ZOMO przewrócił się i uderzył głową w krawężnik. Wszyscy byliśmy na tej demonstracji i wszyscy mogliśmy dostać petardą w łeb, przewrócić się i udusić gazami.

Nie pamiętam jaki to był moment, ale wkrótce jakoś tak wszyscy zaczęliśmy mostek przy Stolarskiej nazywać mostkiem Piotrka Sadowskiego. Rok później postanowiłem wspólnie z Wojtkiem "Dżekopem" Jankowskim i Darkiem Marciniakiem przyczepić tablicę pamiątkową. Była to jedna z pierwszych akcji RSA. Zrobiliśmy rozpoznanie i nie wyglądało to najlepiej. W przeddzień rocznicy Porozumień Sierpniowych partole ZOMO krążyły tam tak często, że wpadka byłaby pewna. Postanawiamy zaczekać. Wojtek przygotowuje tablicę. Jest to solidna decha o rozmiarach metr na półtora, a może i więcej. Na niej napis w stylu "Tu 31.08.1982 zginął Piotrek Sadowski zamordowany przez ZOMO. Pamiętamy!" I podpis RSA.

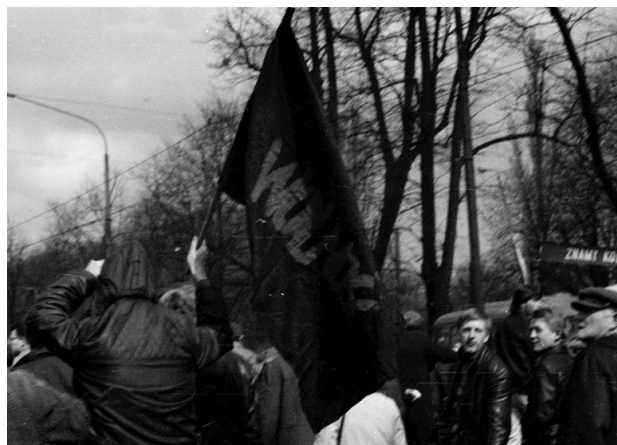
Wieczorem dzień przed akcją tablicę przewozimy z Darkiem Marciniakiem do piwnicy Maćka Kosycarza, który mieszka najbliżej "mostku Sadowskiego". Tablica ma wycięte otwory na druty w czterech miejscach. Druty chcemy przykręcić do balustrady mostku. Ten kto będzie niszczył tablicę ma się natrudzić. Jest trzeciego września, godzina około dziesiątej, a może jedenasta? Przed południem. Zero milicji. Jacyś pojedynczy przechodnie. Wyciągamy z Dżekopem tablicę z piwnicy. Niesiemy ją zasłoniętą kocem. Przechodzimy tak ze trzysta metrów. Gdy jesteśmy na mostku nie oglądamy się już na boki. Zrywamy koc i zaczynamy mocować tablicę. Kręcimy drutami wokół balustrady i po chwili tablica stoi. I gdyby to było dzisiaj, to zrobiłbym ładną fotkę eleganckim smartfonem i puścił na fejsa, a przede wszystkim Wam pokazał. Ale nie mam ani smartfona, ani IPada, ani zwykłej Noki, ani nawet cudów techniki tamtego okresu, czyli Zorki 5, czy aparatu Druh lub Zenith. Mało kto miał aparaty fotograficzne w tamtych czasach. My sami jako konspira unikaliliśmy, by nam robiono zdjęcia i sami też nie robiliśmy sobie fotek. Siedzę nosem w Internecie. Miliony głupich zdjęć. Aktorek, celebrytek, piosenek. Gdyby można je wszystkie wymienić na jedną fotkę tablicy Piotrka Sadowskiego. Niestety nie można.

Jany

## RSA 1983-2005...

Dla mnie Ruch Społeczeństwa Alternatywnego to druga faza pierwszej młodości. Tak się jakoś zdarzyło, że w życiu mi się wszystko układa całostkami po siedem (a raczej dwa razy po siedem) lat. Jak łatwo to wyliczyć (urodziłem się w 1962, reszta ekipy w 1964), pierwsza młodość zaczęła się w 1976 i trwała do 1990, skupiając się głównie na kontestacji (zrazu była ogólnie-opozycyjna, od 1983 wraz z powstaniem RSA jasno określona jako anarchia). Młodość druga to rodzaj subkultury, mieszanina działań społecznych na marginesie życia politycznego i odjazdów artystyczno-zielarskich (za pierwszej młodości byłem ortodoksyjnym abstynentem, teraz się to radykalnie zmieniło, choć nie w nałóg, bo jako wróg tytoniu nie miałem szansy w nic wpaść i porzuciłem to bez trudu w fazie trzeciej, o której dalej). W tym okresie działaliśmy jako Federacja Anarchistyczna sekcja Trójmiasto, choć skreślenie FA w klimaty sekciarsko-lewackie skłoniło nas do dania sobie wolnej ręki i wskrzeszenia RSA - jakże by inaczej - w 1997 (w tym czasie w miejsce Homka jako organ RSA zjawia się La Bestia, pismo niezłe odjeżdżające, tak w treści, jak i w formie). Po kolejnych siedmiu latach w 2004 zacząłem trzecią już młodość, taką normalną (o ile coś takiego istnieje): dom, żona: Iza, dzieci: Tosia i Mikołajek, i studia na UG: historia, gdzie piszę o naszej działalności (owoc tego, licencjat o protestach w/s elektrowni jądrowej Żarnowiec, IPN wydał właśnie jako książkę parę dni temu). Od 2005 nie biorę czynnego udziału w akcjach gdańskich anarchistów (inna rzecz, że owa działalność zamiera, co widać z wykresu naszych publikacji, szczególnie związanej z działalnością bieżącą Ulicy - w kolejnych dekadach wygląda jak rytm zamierającego w podobnych wzlotach i upadkach serca). Choć bywają wyjątki, jak protesty przeciw budowie wieżowców w Parku Nadmorskim, odgrzewaniu pomysłów z Żarnowcem czy ostatnio przeciw brutalności policji, która zabiła chłopaka z dzielnicy (na tym samym komisariacie, gdzie i ja oberwałem i to w III RP, wracając z pro-czeczżeńskiej demonstracji, napadnięty przez tajniaków na dworcu we Wrzeszczu). Widzenie naszej działalności przez pryzmat pracy historyka nie zaczęło się ze studiami (raczej odwrotnie, takie widzenie skierowało mnie akurat na te studia, by uzyskać papier na to, że wiem to, co wiem). Wiąże się to z ideą obserwacji uczestniczącej (w fazie pierwszej drugiej młodości, w klubo-sklepie B-12 w Sopocie, mieliśmy pomysł zaproszenia naukowców do zbadania nas poprzez czynny udział w grupie, by zobaczyli od środka, jak to jest, a nie pisali powierzchownie na bazie tzw. źródeł czy własnych teorii narzucanych realnemu życiu - nic z tego nie wyszło, więc teraz jako uczestnik grupy postanowiłem napisać o nas uczoną pracę - magisterkę robię o RSA właśnie, a z IPN organizujemy konferencję naukową o nas).

Takich faz w działalności w mniejszym wymiarze było więcej, co odkryłem pisząc dla IPN wstępniak do reprintu Homków. Dotyczy to nie tylko czasu, ale i miejsc czy ludzi... np. stara ekipa była z I LO, gdzie było to jeszcze nie w pełni wyklute, w anarchię poszliśmy po spotkaniu przez mnie Jacoba ze szkoły metalowej we Wrzeszczu, gdzie prócz niego i mego brata uczył się Świńx, Hryń i wielu innych, ważnych potem ludzi. Ale RSA wiąże się jakoś z Sopotem. Chodziłem tam do pomaturalnej szkoły księgarskiej (po aresztowaniu w 1982 przestałem być studentem prawa UG) w latach 1983-1985, a więc wtedy, gdy powstawało RSA. Tu była nasza pierwsza drukarnia serio i tu odbywały się kluby dyskusyjne. Można by to uznać za



przypadek, gdyby nie to, że w 1985/86 część z nas wybrała działalność jawną w ruchu Wolność i Pokój, a część pozostała w podziemnym nadal RSA i linią podziału okazało się miejsce zamieszkania: Sopot poszedł do WiP, Gdańsk (śródmieście) pozostał w RSA (a ja akurat przestałem jeździć do szkoły w Sopocie). Co ciekawe, obie grupy współpracowały z powstałą właśnie wówczas (1986) formacją tranzytorną Totart, co stało się materializacją naszej samoidentyfikacji, jako grupy z pogranicza opozycji i kontrkultury (wcześniej było już coś takiego w I LO, gdzie robiliśmy nie tylko pismo, ale i kabaret, teatr, Młodzieżową Agencję Filmową i Artystyczną etc., do czego po części teraz wróciliśmy w postaci DKF np.). Kontrkultura wiązała się dla nas z fazą zastoju w polityce (czyli zadymach), stąd pojawienie się jej w 1986 i zanik w 1988, gdy zaczęła się nowa faza walki z systemem w postaci Międziamiastówki Anarchistycznej (deklarację ideową pisali razem ludzie z RSA, WiP i Totartu), potem FA (z pismem Ulica) i Klubu Inicjatyw Społecznych C-14 (z Gdańską Alternatywą), ale też grupy artystycznej Nowe Szkoty (z całą masą wydawnictw, bo każdy miał własne pismo, czasem parę nawet). A im dalej w III RP, tym bardziej nastoje społeczne opadały (widać to po tym, na co sobie pozwalała policja i media w stosunku do nas a propos manifestacji 1 maja 1992 i 1993 organizowanych przez RSA i Wolne Związki Zawodowe Gwiazdy i Walentynowicz - za pierwszym razem policja nasłała na nas skinów, których potem broniła przed tłumem, a media potępiły władze; za drugim razem policja zaatakowała legalny wiec sama, a media pisały już to, co trzeba, wg systemu). A kiedy społeczeństwo zasypiało (rozpadało się wręcz, co potwierdzają badania socjologiczne, że Polacy są najmniej socjalizowanym narodem Europy), my coraz bardziej odjeżdżaliśmy w kontrkulturowe getto, do czego przyczynił się masowy napływ punków itp. Ale po kolei...

Z dzieciństwa pamiętam, że lubiłem filmy o buncie, walce, rewolucji i innych podobnych rzeczach, czy był to ruskim Samotny biały żagiel i Białe słońce pustyni, czy amerykański Zorro i Viva Maria czy Zapata nie grało roli. W tym samym kierunku działały doniesienia mediów o ETA, IRA, RAF, Wietnamie, latynoskiej partyzantce miejskiej etc. Komuna nie kumała, iż to nie działa w ten sposób, że ta rewolucja jest słuszna a tamta nie. Mi podobała się sama rewolucja, a kogo zniesie, to już jej problem. Z mego miejsca w czasoprzestrzeni padło na komunę. I komuna, i kościół głosiły zasady sprawiedliwości społecznej, więc nawet jeśli nic z tego nie realizowały była to ważna inspiracja (a to, że nie realizowały, zniechęcało do nich i nastrojało ku anarchii, zrazu w postaci socjalizmu bezpieczeństwa). Gdy miałem 14 lat (a jakże, siódemka się kłania) media doniosły, że pewnego dnia robotnicy z niejasnych powodów poprzecinali słupy trakcji wysokiego napięcia i usiedli na tory, potem usłyszeliśmy w mediach, że jakaś młodzież chodziła po Krakowie i mieli zaznaczone jakieś miejsca na mapach i była o tym w studio zażarta dyskusja (chodzi oczywiście o Ursus w 1976 i manifestację na Juwenaliach w Krakowie po śmierci Pyjasa rok potem - dopiero po latach dowiedziałem się, że i on z kolegami interesował się bliskimi nam idejkami, a ich SOR miał kryptonim Anarchiści właśnie). Przez moment wiązałem nadzieje z kościołem, nie szło nawet o wybór papieża-Polaka, a wiarę w to, co kościół głosił. Byłem ministrantem, podobnie jak Orzeł, z którym w 1978 zaczęliśmy wydawać własne pismo, Nietoperza. Pismo było satyryczno-obrazkowe, byliśmy wielkimi fanami komiksów i kabaretów (na audycję 60 minut na godzinę chodziliśmy do ZURT całym podwórkiem i słuchaliśmy na UKF programu 3, czego na domowym radio się nie dało). Pismo



miał 2-3 egzemplarze: dla redakcji, debiutującego autora i teatru Jednooki Teo z Nowej Huty. A że był rok 1979, kabarety śpiewały: chodzi Lenin koło drogi, nie ma ręki ani nogi, co wiązało się z wysadzeniem pomnika Lenina w Nowej Hucie; był to czas zwany uroczym rokiem otwierania listów, bo otwierali wszystkie, jak leci, w poszukiwaniu śladów tej bomby. No i przeczytali o pisemku, i oczywiście do Orła (który, mieszkał po drugiej stronie ulicy) wjechała bezpieka w dwa samochody i zaczęli szukać broni, zrywać podłogi itd., po czym go aresztowali, przesłuchiwali i... zauważyli, że coś nie tak, więc mówią: spieprzaj, dostałbyś po ryju, ale jest 16-ta i idziemy do domu. Następnego dnia musiał iść po płaszcz, bo wyrzucili go bez płaszczu. Poszedłem tam z nim, po wyjściu w tunelu obok komendy na Okopowej zamiast się przestraszyć zaczęliśmy snuć plany jej wysadzenia. Zamiast tego zaczęliśmy jednak chodzić na demonstracje, w XII 1979 pod stoczną i 3 V 1980 pod pomnikiem Sobieskiego. Orzeł się wystraszył po Sierpniu '80 (odwiedziła go SB, próbując odgrzać kontakt, a on myślał, że przy 10 mln podejrzanych zapo-

mną o nim), potem został księdzem, odwrotnie niż ja, bo po usłyszeniu kazania Prymasa w VIII 1980 zerwałem z kościołem, podobnie jak potem z Solidarnością olewającą walkę (samo ograniczająca się rewolucja) i własny program, Samorządną Rzeczpospolitą.

Póki co zbieraliśmy się w empiku na Długim Pobrzeżu, jakimś klasztorze misjonarek (Struś próbował zarwać panienkę na rzucony za płot zegarek, że niby mu spadł, cywilną zakonnicą się okazała), a raz nawet w jakiejś oazie, ale wszędzie nas wcześniej czy później wyrzucali. Stworzyliśmy własną idejkę HOMOizmu z teorią PIWO (od: prostaczek > inteligent > wariat > oświecony, a w dialektyce: teza > antyteza > proteza > synteza) i pojęciem humanizmu totalitarnego. W I LO spotkaliśmy ekipę kabaretu Tapeta, z którą założyliśmy pismo Giloty, zrazu w gablocie po harcerzach (od marca 1980), potem powielaną (od marca 1981). W tym czasie od Tirany (wtedy fana tegoż radio i jednego z pierwszych polskich punków, dziś lidera nazistów) dowiedzieliśmy się, że nasze idejki to taki anarchizm, socjalizm bezpieczeństwa jak u Abramowskiego. Nie kręciła nas pro-solidarnościowa opozycja: na ogólnopolskim spotkaniu młodzieżówek w Brzeźnie w 1981 bliżej nam się okazało do zwolenników ruchu niż organizacji, którzy stworzyli Federację Młodzieży Szkolnej, przybudówkę NZS, który był przybudówką Solidarności (dziś jej lider jest szefem SKOK-u). Działaliśmy wśród redakcji pism, kabaretów, teatrów, jakichś bliżej nieokreślonych grup (w I LO robiliśmy parlament szkolny) itd. Mieliśmy kontakty z ludźmi z całej Polski, choćby przez kabaret Skiby, który jeździł po różnych imprezach czy przez wymianę pism z różnymi ośrodkami i był pomysłem, by utworzyć coś na kształt ruchu ogólnopolskiego, nie hierarchicznego, niekontrolowanego przez nikogo. U nas pisali komuniści, przyszli anarchiści i naziści, wariaci, poeci, narkomani, kto zechce... Nie było ograniczeń cenzuralnych, żadnej kontroli, do tego stopnia, że wersję

ścienną gazetki każda z ekip robiła osobno, mając klucz od gabloty i nie konsultując tego ze sobą. Od początku były konflikty ze szkolną Solidarnością (a nie tylko z komunistyczną dyrekcją LO), np. o tekst Kręte ścieżki NSZZ Solidarność. Wszystko to przerwał stan wojenny, znaleźliśmy się na ulicy, organizując w ogólnym rozgardiaszu własny pochód 16 XII i zasypując starówkę własnymi ulotkami, często naklejanymi w miejsce zrywanych komunistycznych, na ich kleju jeszcze. Zaczęliśmy też współpracować z Solidarnością (nazywaliśmy się samozwańczo Solidarnością Wybrzeża). I znów szybko się okazało, że jesteśmy zbyt samodzielni (zrobiliśmy, nie pytając o zdanie Regionu, 5-tysięczną demonstrację w pół-rocznicę stanu wojennego). Goście grali na zwłokę, próbowali kupować darmową bibułę i jednocześnie blokowali nam dostęp do druku (z czasem zorganizowaliśmy go sobie sami, cała drukarnia mieściła się w moim neseserze). A z bibuły niechęć płynął radykalny przekaz, Człowiek zbuntowany Camusa, Hold Katalonii i inne dzieła Orwella czy pisma trockistki z oddziałów międzynarodowych w Hiszpanii lat 30., a potem chrześcijańskiej mistyczki Simon Weil (czy już wcześniej poznany, a nawet drukowany przez nas Gombrowicz: Sienkiewicz i Przeciw poetom).

W tym czasie (szukając plakatów na scenografię do podziemnego teatru Skiby, wiersze Barańczaka, Krynickiego itp.) pojechałem do Jacoba i w krótkiej 8-godzinnej rozmowie się okazało, że jesteśmy bratnie dusze, anarchiści i wobec tego trzeba pójść w tym kierunku. Chodziliśmy po ulicach w garniturach do spodni roboczych i trampek czy sandałów i znaleźliśmy jakąś ulotkę hippisów, na której był podpis: młodzież na rzecz społeczeństwa alternatywnego. Nam ten klimat się spodobał, oczywiście uprościliśmy nazwę i bardziej upolityczniliśmy czy ubojowiliśmy, czyli RSA. Nazwa była jednocześnie deklaracją ideową: Ruch, a nie organizacja, partia itd., Społeczeństwa, a nie władzy czy elit, i Alternatywnego, w dwojakim rozumie-





niu tego słowa, tzn. alternatywnego wobec tego, co jest, czyli programów rządu i opozycji, bo jak mówił Skiba głupia władza tworzy głupią opozycję, jak i alternatywnego w rozumieniu przyszłości, czyli oparcia życia społecznego na współistnieniu różnych grup, form pracy, organizacji, kultury etc. Była 25 rocznica '68 na Zachodzie, wychodziła masa publikacji tego dotyczących, np. cały numer Zdania poświęcony rewolcie studenckiej. A jednocześnie cała masa propagandy anty-solidarnościowej wydawanej przez komunistyczną Książkę i Wiedzę czy MON, gdzie pisano, że Solidarność to anarchiści, terroryści itd., od nazewnictwa typu Solidarność Pracy, po cel, strukturę nie branżową - jak u normalnych związków zawodowych - a regionalną czy strajk generalny jako mit z Sorela i cała masa przykładów na to, że Solidarność to tak naprawdę nieświadomiony ruch anarchistyczny. Trafiliśmy też na wydaną (tuż przed stanem wojennym) w serii Dialogi rozmowę pięciu lub sześciu intelektualistów (m.in. Szczygiński i Ryszka) o anarchizmie (w Poznaniu Bujny trafił potem na wyprzedaż, wykupił cały nakład i rozdawał jako ulotki - po latach poznańska Trojka, wydawnictwo FA, wydała to jako reprint). W czerwcu 1983 u mnie w chacie siedzieliśmy przez tydzień z Jacobem, klepaliśmy na maszynie różne nasze bibuły, wariackie pisemka, futurystyczne wierszyki i między innymi manifest RSA wyklepaliśmy. Wstawaliśmy o 2 po południu, jeden robił frytki i karmił papugi, a drugi klepał i tak na przemian, po czym około 2-3 w nocy kładliśmy się spać i tak przez tydzień. Wyprodukowaliśmy masę różnych rzeczy m.in. Rodezję, zbiór z różnych propagand, od komunistycznej do katolickiej, humanistycznej czy narodowej, teksty Dzierżyńskiego, Wandy Wasilewskiej, Brylla... Potem anarchiści z Danii, kiedy się dowiedzieli, że to jest pierwsza publikacja anarchistyczna, chcieli ją wydać i musieliśmy im tłumaczyć, że nie...

Manifest RSA podpisali także Skiba i mój brat, Czarek. Jacob powielił to w paru egzemplarzach przy pomocy fotografii (w masowym nakładzie powieliłem to X lat potem dopiero, jako uzupełnienie Idejek). Wtedy na dobrą sprawę znany był tylko fragment, który stał się mottem Homka: każdy człowiek ma prawo nie tylko kultywować, lecz również tworzyć własną kulturę, religię, światopogląd, własny etos życia. Pierwszy numer wyszedł we wrześniu 1983, tuż po akcji, gdy Skiba, Jacob i Worcell powiesili na moście na Raduni tablicę pamiątkową w rocznicę śmierci Piotra Sadowskiego, kolegi ze szkoły podstawowej, robotnika portowego, który zginął trafiony przez ZOMO w głowę pojemnikiem z gazem. Homek też był pismem ogólnopartyjnym, choć coraz częściej pojawiały się teksty o wojsku, kościele, mitach wolnego rynku etc. Pierwszy raz słówko anarchizm pojawiło się w numerze 14 i 15 (w tekstach By anarchista nie znaczyło diabeł, Anarchizm a komunizm, Anarchizm a liberalizm). Równoległe do dwutygodnika odbywały się cotygodniowe kluby dyskusyjne z udziałem od 5 do 30 osób, często obok starej ekipy z I LO i średniej ze szkoły metalowej brali w nich udział nowi ludzie ze szkoły księgarskiej, gdzie wydawaliśmy ścienną a potem maszynopisaną gazetkę Mement MOri. Ogólnie pomysł był taki, że ktoś robi referat (o powstaniu religii, państwa etc.), po kolei historii ludzkości idąc) a potem luźna rozmowa o naszym stosunku do tego, czy jest potrzebne, jak z tym walczyć etc. I znów zrobił się problem z lokalem (z piwnicy Jacoba nas wywalono, choć z drugiej strony dobrze, bo była tam - pod oknem szefa MO i SB Andrzejewskiego - nasz drukarnia i w pewnej chwili o mało przez to nie wpadliśmy, ale gość nas sypiący pomieszczał piwnicę Jacoba z moją osobą i kazałem się esbekom gonąć, bo mają kiepskie ucho). Ostatnie regularne spo-



tkanie odbyło się zimą 1984 na molo przy  $-20^{\circ}\text{C}$ . Także pismo wychodziło coraz rzadziej, jako miesięcznik, potem nieregularnie... coraz większą rolę grały akcje ulotkowe, ogólne i przeciw wojsku. Do tego doszedł swego rodzaju rozgłos, po tym jak 1 maja 1985 udało nam się na 40 minut zatrzymać pochód rządowy (efektem był atak ZOMO i SB na ludzi, a potem atak ludzi i polowanie na ZOMO we Wrzeszczu; ostry dym w czasach, gdy w Polsce już nic się nie działo wzbudził sensację potęgowaną czarnymi flagami i ulotkami RSA o anarchizmie). Powtórzyliśmy to (na spokojnie) 13 X 1985 prowadząc pod czarnym sztandarem manifestację anty-wyborczą w Gdańsku. Podziemny Przegląd Polityczny opublikował z nami duży wywiad, rozmawiali i pisali też inni, szczególną mitologię (o punkach z różowymi czubami bijących ZOMO) serwował Tygodnik Mazowsze, a Jacek Kuroń napisał do nas długi list, tłumacząc się z błędów młodości (przyjechał potem do Gdańska, ale się nie porozumieliśmy - mam wrażenie, że chciał nas ustawić, jak próbował potem z WiP, choć i tu mu nie daliśmy - lepiej poszło Solidarności z FMW, choć też nie do końca).

Paradoksalnie, rozgłos przyszedł wtedy, gdy grupa była w rozsypce. U siebie byliśmy w miarę bezpieczni, o czym świadczy I zlot młodzieży wegetującej, Hyde Park '85 w Brodnicy na Kaszubach, dwie setki ludzi z całej Polski i nikt nie posypał (rok potem, na II zlot robiony wspólnie z WiP, wjechała bezpieka). Tymczasem poza Gdańskiem zaczęły się wyspy. Skiba studiował w Łodzi i od razu namierzyli, że kolportuje bibułę i to naszą. Skończyło się niegroźnie, bo... aresztowano go na akcji ulotkowej w Jarocinie, więc nie mieli okazji przez niego nas rozpracować. Podobnie namierzyli Świńxa, gdy zorganizował grupę ulotkową w Zamościu i okolicy, poszedł za nim list gończy, ukrywał się więc, póki nie aresztowali go w Poznaniu, gdzie tworzył właśnie tamtejsze RSA (tu także, w domu prof. Leszka Nowaka, odbył się jedyny ogólnopolski zjazd uczestników RSA z Gdańska, Łodzi, Poznania i Szczecina). Przypadkowo aresztowani za bibułę zostali Krzysiek Grynder (znów gdzieś w Polsce) i Galu (z Jacobem, ale jego puścili, co niewiele dało, bo 15 XI 1985 został aresztowany za odmowę służby wojskowej, za co dostał 3,5 roku i utracił pracę w szkole, podobnie jak ja pół roku potem, a dwa lata później za happening z Generałem-Marzanną mój brat). Brat miał wypadek, potem przeprowadził się do Pszczyny, a ci, co wyszli z pudła, poszli do jawnego WiP, więc w praktyce zostałem ja i Hryń (nasz tajny i nigdy nie rozpracowany drukarz, nawet niektórzy nasi ludzie do niedawna nie znali go). I w tym momencie pojawił się Konik, a potem Totart, zaczęliśmy odjeżdżać, bawić się w sztukę, komunę metafizyczno-społeczną w Śliwicach w 1987. A z drugiej strony wielka zadyma po papieskiej mszy na Zaspie, jako zapowiedź, że nadal nikt nie lubi komuny i walka trwa. Coś dziać zaczęło się już w następnym roku, nie chodzi tylko o strajki w maju i sierpniu czy coraz liczniejsze starcia uliczne (rekord padł w 1989, gdzie między 1 a 10 maja spokój był przez 3 dni tylko), ale i u nas. Wiosną powstało przy kościele ks. Jankowskiego Duszpasterstwo Anarchistyczne (rodzaj kluby dyskusyjnego i to z pismem-gablotą u wejścia do kościoła, choć był i występ muzeum Totartu), z którego nas oczywiście też wyrzucili (za tekst Szeremietewa przeciw Wałęsie w naszej gablocie).

W tym samym czasie pojawiła się idea MA, która zrealizowała się na kolejnym Hyde Parku, a 30 X 1988 odbył się w Gdańsku I ogólnopolski zjazd ugrupowań anarchistycznych, ludzi z RSA (nowe ośrodki w Chełmnie, Białymstoku, Zakopanem, potem Warszawie, Sochaczewie etc.), WiP (część niepolityczna), Pomarańczowej Alternatywy etc. Zjazd rozbiło ZOMO i SB (film z tego kraży w necie,



więc nie będę epatował szczegółami, ale wyglądało, jakby się wojna zaczęła), ale zwolnieni po spisaniu kontynuowali go na górce obok i na Górce w kościele Mikołaja. Powstanie Federacji Anarchistycznej rok potem (zjazdy w Dobrzeniu k. Opola i w Warszawie) to jakby upolitycznienie idei MA, co doprowadziło wiele osób do wycofania się z ruchu (na bieżąco ostrzegaliśmy wraz z Totartem, że ludzie nie są gotowi do żadnych rewolucji, ani w skali społecznej, ani nawet w anarchistycznym getcie, ale wielu radykałów/frustratów nie chciało nas słuchać i ruch zamiast stworzyć nową formację intelektualną z perspektywą na przyszłość szybko zamknął się we własnych sprawach, coraz bardziej izolując się od społeczeństwa, coraz bardziej staczając się w wojnę gangów punków i skinów, zaś sama FA przejściowo się załamała, czego objawem była 1,5-letnia przerwa w zjazdach, a wznowiła ją pojawienie się nowego pokolenia anarchistów, wyrosłych już na skłotach itp. w III RP, która dla nas okazała się takim samym wrogiem jak PRL - osobiście siedziałem i byłem pobity przez służby tyle samo mniej więcej razy za starego i nowego reżymu - pod tym względem nic się nie zmieniło).

Na lokalnym gruncie nie było tak źle, bo z jednej strony kontynuowaliśmy współpracę z Totartem, ruchem Twe-twa czy Związkiem Niezależnej Młodzieży Ukraińskiej itp., co zaowocowało zrazu powstaniem Placu Wymiany Pozytywnej (1989), będącego skutkiem ubocznym zadym w/s Żarnowca, a potem powstaniem Klubu Inicjatyw Społecznych C~14, a z drugiej z WZZ i Wrzeszczańskim Komitetem Obywatelskim, co miało dobre i złe strony. Dobre to kontakt z życiem społecznym, zadymy przeciw sprzedaży wodociągów miejskich francuskiej firmie SAUR, podwyżkom opłat za wodę czy próbie usunięcia kupców z hali targowej i Targu Siennego, co czasem się udawało, czasem nie. Podobnie rzecz miała się ze skuteczną blokadą budowy 4 hipermarketów. Z drugiej strony prowadziło to do konfliktu z władzami, podwyżek czynszu za lokal (w tempie, za którym nie nadążała nawet inflacja Balcerowicza), napadów skinów na wiece i Klub C~14 (często pod ochroną policji), co w końcu doprowadziło do upadku KIS. Nie brakło i napięć na linii artyści-anarchiści, szukanie mecenatu-walka z władzą. Nim do tego doszło, odbyło się 80 imprez, od wystaw i koncertów (nieraz z międzynarodową obsadą sław) po spotkania Koła Emerytów i Rencistów czy stoczniowców wyrzuconych z pracy za strajk. Spór z nami nie skończył się dobrze dla prezydenta miasta, który cudem uniknął referendum, ale przegrał wybory i skończył z 8 wyrokami w więzieniu. Jednocześnie próba WZZ zaistnienia w wyborach sejmowych z 1993 doprowadziła do rozkładu tego środowiska i utraty naszego przełożenia na zewnątrz (także WKO straciły rację bytu po wprowadzeniu 5% partyjnego progu wyborczego do samorządów, co eliminowało wszystkich poza czołowymi partiami czy ludźmi prezydentów miast). W sferze idejek promowałem sarmatyzm i jego ciąg dalszy w postaci filozofii czynu, gdzie odkryłem pisma Abramowskiego (znacznie mi bliższy niż Brzozowski, twórczo łączył teorię - sumienie między bazą a nadbudową jako element humanistyczny dziejów - i praktykę spółdzielczą czy koła etyków) i istotę polskiej myśli narodowej (od słowiańskiego mitu stworzenia świata przez boga dobrego, co sam nic nie umie i złego, co czyni, przez przysłowia ludowe: coś na bóg zdał to już stracone czy panu bogu świeczkę a diabłu ogarek, po romantyków i socjalistów z prac Backvisa i Urbankowskiego, który - nawiasem mówiąc - okazał się liderem Grupy Artystów Anarchistów działającej w latach 60.). Młodzież zaangażowała się w Obywatelską Ligę Ekologiczną (m.in. zadymy przeciw w/w marketom) oraz Gdań-



ską Kampanię Rowerową (Gdańsk stał się sławny największą w Polsce infrastrukturą dla jednoślądów). I znów nie było gdzie się spotykać (czasem były więc knajpy czy plener, dwa kolejne Infoshopy B-12 w Sopocie – połączone z serią akcji ulicznych, jak topienie polsko-katolickiej Marzanny, Światowid przed kościołem, parodia akcji zbierania kasy na policję czy rocznik X idzie do wojska, potem wojenna wyprawa łodzią do Afganistanu – skłot Rzeźnia na Dolnym Mieście w Gdańsku, niedaleko dawnego KIS C~14, Dworek Sierakowskich w Sopocie, w końcu chatopoddasze Drzemka, większe niż niejeden z lokali i do tego bez kontroli z zewnątrz). Z dziwniejszych nie tyle lokali, co symptomów pamiętam spotkanie w siedzibie WKO, gdzie nie pozwoliłem go zacząć liderom, młodzież w liczbie kilkudziesięciu przez parę godzin gadała w małych grupach o niczym i nikt nie zauważył nawet braku spotkania (okazało się, że towarzystwo jest ważniejsze niż robota). I spotkanie u artystów na Stoczni, gdzie ludzie zamiast ze sobą rozmawiać siedzieli dupami do siebie przed ekranami komputerów i pisali do siebie maile (okazało się, że nawet realne towarzystwo jest zbędne, wirtualna działalność w wirtualnym świecie: net Anonimus zniesie wszystko a łąć ludziom w oczy trudno). Nim do tego doszło, powstała na tle działań artystycznych formacja Nowe Szkoty zaowocowała dziesiątkami wydawnictw pojedynczych (autor sam pisze i rysuje, składa i wydaje, a potem wybiera czytelników a nie puszcza tego w obieg, co dla mnie wiązało się m.in. ze wznowieniem Nietopierza jako NIERządu, który wychodzi do dziś: właśnie składam sobie numer 371, nie licząc wielokrotności tego w postaci dodatków wewnętrznych). W miejsce Homka, którego przestałem wydawać w 1994, pojawiła się La Bestia (1996-2004) cudownie składana przez Bełta (od klasycznej, przez secesję i techno po własny styl i trójkątny format – obecnie próbuje ją wskresić w necie, podobnie jak kolejną edycję projektu Moje Miasto – pierwsze ukazało się drukiem w 2002, 48 tekstów, 264 strony i masa foto, recenzje można znaleźć w profesjonalnych pismach architektów czy pracach badawczych z pogranicza socjologii i literatury). Z akcją bieżącą wiązała się Ulica, która zastąpiła związaną z KIS Gdańską Alternatywę (1990-91), wydawana od 1991 do 1996, a wznowiona na kolejnej fali aktywności w 2001 (do 2005 wyszło 61 numerów, nadto mutacje w Słupsku, Poznaniu, Słubicach, Koszalinie, Toruniu i Białymstoku). Wiązało się to z akcjami przeciw amerykańskim wojnom na Bliskim Wschodzie (z flagą RSA Hryń dymił nawet pod Białym Domem w Waszyngtonie) i akcją Jedzenia Zamiast Bomb, choć pojawiały się i inne tematy, zaś obok klasycznych demonstracji akcje parateatralne, do których wykorzystywaliśmy maski robione na sesjach u Drzemka. Z akcji bardziej krajowych warto wspomnieć kontrmanifestację w 20 rocznicę Sierpnia '80, pod hasłem: gdzie się podziała Samorządna Rzeczpospolita, która popsowała wiec wyborczy AWS pod 3 krzyżami (środowisko zadbało zresztą o zaistnienie na kolejnych okrągłych rocznicach rządowej obłudy). Podobnie wyglądał nasz udział w marszu dla Europy PO, gdzie pojawiliśmy się w pierwszym szeregu z hasłami Życie w EU będzie proste jak banany i Żądamy więcej bajek o UE, więc – mimo spędu młodzieży z całego województwa, niczym na pochod 1 maja za komuny – z klipu wyborczego nic nie wyszło. W tym czasie sformułowaliśmy też koncepcję neutralności prawa – spraw, gdzie brak zgody, jak narkotyki, obraza prezydenta, przerywanie ciąży, rozwody, związki partnerskie itp., dzielących naród 50/50, nie wolno regulować prawem a zostawić stronom, ewentualnie do rozstrzygnięć cywilnoprawnych, bo regulacja odgórna jest niesprawiedliwa (zawsze połowa społeczeństwa zostaje



olana) i przeciw-skuteczna (co widać np. po prohibicji w USA, która wypromowała gangsterów). Tyle, że żadnej ze stron nie interesuje rozwiązanie problemu a kampania polityczna i odwołanie do swego elektoratu (nawet FA nie kupiła tego pomysłu). Późniejszy okres to już aktywność (czy jej brak) kolejnej ekipy wraz z niedobitkami średniego pokolenia (z naszego, po moim wycofaniu się z czynnej działalności około 2005, nie został już nikt). Ponieważ nie do końca odpowiadały mi niektóre odjazdy poprosiłem ich o nieużywanie nazwy RSA (co zresztą pasowało lewacom, choć anarchiści nadal mieli do niej sentyment).

Czym więc było RSA (mogę użyć czasu przeszłego, choć ostatni-aktualni prowadzący - Belt i molestowany przezeń do działania Jany, czyli ja - nadal podejmują różne inicjatywy, mogące świadczyć o tego czegoś istnieniu)? Na pewno nie partią czy organizacją - na dobre nawet nie ruchem, bo do tego trzeba dziesiątek osób, a nas w Gdańsku (z Sopotem) na ogół było 2,3 - raczej grupą inicjatywną złożoną przeważnie z kogoś, kto miał jakiś pomysł, ze mnie, który dbałem o jego realność > realizację (całymi latami np. pełniąc rolę skarbnika) i tych trzecich, których czasem nie było wcale, czasem zaś 20-30 osób (co ciekawe, momentami w innych ośrodkach bywało, że można by to uznać za ruch, np. w Warszawie na początku lat 90, gdzie było ich tyłu, że nawet zdołali się podzielić na MA i RSA). Do tego otoczenie ludzi, którzy nie wiadomo, byli u nas czy nie, bo czasem brali udział w jakichś akcjach, pomagali tak czy inaczej, albo po prostu się kręcili, co też miało swoje znaczenie (we dwóch się nie wariuje, a co dopiero w tyłu, więc człowiekowi się chce). No i firmy kooperujące w ramach Porozumienia Grup Niezależny Wolność czy Grupy X pawilon, z których ludzie wraz z zanikaniem macierzystych formacji spływali do nas, czy współpraca z Totartem, który w pewnym momencie stał się drugą stroną medalu (albo my ich; dość powiedzieć, że Mesyago robił za naszego komisarza ds. kulturowych, a ja ds. politycznych, często razem pisząc deklaracje, jak na seminarium o pedagogice wyzwolenia robione przez KOR i KPN w 1988 w Warszawie). Można tu zastosować różne podejścia, opisując jako RSA wszystkie działania środowiska (tak zrobił Skiba w Artystach, wariatach i anarchistach, mieszając akcje nasze i WiP czy nawet swojej Galerii Działań Maniakalnych w Łodzi, choć w kalendarium pisze ruch społeczeństwa alternatywnego z małych liter i wówczas ma to sens), albo opisywać tylko to, co było robione pod naszym szyldem (tak jak to w broszurze RSA zrobiłem; tylko jak wówczas oceniam moją aktywność w A'cappelli, gdzie pisałem, składałem i byłem głównym adresem na kolportaż, czy na zjeździe WiP - aż po zmiany w deklaracji ideowej tegoż - gdy ja w WiP nigdy nie byłem). Dlatego po latach się okazało, że parodystyczny statut RSA nie był wcale taki głupi mówiąc, że: uczestnikiem ruchu jest ten, kto w danym momencie coś dla ruchu robi, zaś kieruje ruchem ten, kto w danym momencie coś dla ruchu robi - inni w dobrym pójdu za nim. I czasem szło wielu i coś udawało się zrobić, czasem pomysły sprzedawano innym, liczniejszym formacjom (czy powoływanym tymczasowo przez nas tworom-nazwom, które potem nierzadko żyły własnym życiem), czasem zaś obsługiwały tylko pojedyncze zdarzenie czy inicjatywę typu Instytut Duch Miejsca dla Mojego Miasta. Bywało też, że wchodziliśmy w cudze inicjatywy, bo nam odpowiadało ich przesłanie (tak było z Kongregacją Wolnego Ducha Jednoty Braci Polskich kościoła unitarian i uniwersalistów, w którym znaleźliśmy się na początku XXI w., choć pierwsze próby kontaktu to wyjazd Gala i mój do Krakowa już w połowie lat 80.).

Na coś więcej nie pozwalały nasze idejki i poczucie sma-



ku (od początku np., jeszcze przed powstaniem RSA, wielokrotnie odmawiałem zostania mesjaszem - a wyznawcy bez trudu by się znaleźli - podobnie jak Mesyago, który ostentacyjnie deklarował, że: nie da[m] się ukrzyżować... Łatwo byłoby wkręcić w idejkę czy partię ludzi, których przywołała do nas choroba sieroca, my jednak woleliśmy pytać, dlaczego tu przyszli, czemu do nas a nie np. do policji, na co Bzyk wyjął colta machając Galowi przed nosem: jak mogłeś zadać mi takie pytanie?). Podobnie nie zdecydowaliśmy się na zdobycie władzy i narzucanie idejek siłą (do rad miejskich skutecznie kandydowali z ramienia RSA nasi młodszy koledzy w Chełmnie i Ostródzie, w pierwszym przypadku Było zrobił taką karierę, że dziś się do nas nie przyznaje). Tymczasem anarchizm zakłada, że ludzie muszą sami chcieć się wyzwolić i sami muszą się wyzwolić, nikt im nie da wolności, tak jak można narzucić każdy inny system, łącznie z demokracją i rynkiem, które są tak samo totalitarne jak faszyzm czy komuna, tylko na innych regułach się to opiera (np. przymus własności, nic nie może być niczyje, a wspólnotowe jest źle widziane). Do tego byliśmy normalnymi ludźmi, nie zawodowymi rewolucjonistami (nawet w tym stopniu, co działacze WiP, wieczni studenci, łowcy fuch etc., których stać było na jeżdżenie z akcji na akcję po Polsce, bo nie byli związani pracą itp.; pamiętam, że kiedy szło o przejście od elitarnych sittingów do masowych demonstracji w/s Żarnowca zaproponowałem termin w piątek o 16-ej, aby każdy w razie zatrzymania na 48 godzin zdążył w poniedziałek do pracy czy szkoły, bo represje mogły polegać nie na aresztowaniu - w 1989 było to już mało prawdopodobne - a np. na wyrzuceniu za niestawienie się do pracy). Ponieważ po 1990 w systemie wolnego ringu narastał egoizm (wyścig szczurów) a społeczeństwo ulegało coraz większej desocjalizacji (uraz po zdradzie ideałów przez Solidarność, objawiający się m.in. głosowaniem na SLD już w 1993), nie było specjalnie z kim robić rewolucji i tak już póki co pozostało. Nie zmienia się to, póki nie wyrośnie nowe pokolenie, dla którego punktem odniesienia będzie tutaj i teraz, a nie to, z której strony lufy czy podsłuchu ktoś był po 13 XII 1981 (a wcześniej pałki w '68) i czy wierzy w UFO czy zamach w Smoleńsku. Czego i wam życzę... PS., pisząc tekst zrezygnowałem z wielu anegdot i opisów akcji i zdarzeń, czasem przezabawnych, podobnie nie wstawiałem co chwila obrazka uśmiechniętej gęby (a trzeba by w wielu miejscach, bo nawet rzeczy straszne brałyśmy z dystansem). Staralem się o pewne ujęcie systematyczne oraz wspomnienie o tym, co było po 1990, bo RSA i nasza walka nie skończyły się wraz z PRL (niestety, może - i tu też powinien pojawić się ☺).



## PO PROSTU KOCHAM BŁOTO, CZYLI JAK ZOSTAŁEM ANARCHISTĄ

To nie był proces.

To nie był moment.

Jak zwykle było to coś pomiędzy. Coś co bardzo trudno uchwycić, ale to coś z pewnością jest. Jak miód dodany do herbaty. Pyszny, obecny, choć niewidoczny. Nektar kwiatów, które zniknęły z pejzażu łąki, zebrany przez anonimowe pszczoły, mający w sobie moc eliksiru stawiającego na nogi umarłych.

No tak. Anarchizm. Dlaczego właśnie on? Dlaczego nie, synku, wygodna posada w banku? A jeśli to za nudne, to naukowa kariera. Albo, ostatecznie, jakiś inny instytucjonalny twór. No wiesz, taki, który zapewniłby ci poczucie bezpieczeństwa. Komfort. Na przykład ministerstwo transportu. Bo, zależy mi na twoim szczęściu. Na tym, żebyś nie był jak ci Kolumbowie. Żebyś sobie dobrze ułożył życie. Nie szukał kłopotów.

Nie, tak nie mówiłaś.

Ach, mamo, ty jesteś winna mojej anarchii. To z twoim mlekiem wyssałem tę uporczywą negację wszelkich ograniczeń. I nikt już nie zrobi ze mnie parobka. To kwestia biologiczna. Mój mózg został ukształtowany w antyautoritarny sposób. Krnąbrny organ głuchy na manipulatorskie podszepty w prawo rozwijającym się ciele. Fatalna sytuacja. Pozwolić takiemu żyć. Ale jak go wytropić w umyśle rodzicielki? W jej łonie.

System.

Taki system wynaleźć, żeby się żaden wolnościowiec nie prześlizgnął. Cóż. Trzeba okiełznać ten chaos jakim jest ludzka psychika w pożądany sposób. Zaordynować mu trening. Pomniejszać. Amputować odrosty. Stosować metodę kija i marchewki. Zainicjować program genetycznej i kulturowej selekcji. Hodować posłuszne golemy. Władza. Masz wierzyć, że to ona posiada klucz do sensu egzystencji.

Nigdy mi niczego nie kazałaś. Zawsze tłumaczyłaś. Dozowałaś w bezpiecznych dawkach wątpliwości. Karmiłaś prostymi odpowiedziami, w zawłościach doszukując się szalbierstwa. Z pokorą mieliśmy na bakier. Wiedziałaś jak smakuje żywot buntownika o suchym pysku, a jak sytego sługi. Mamo, ty miłosierna rewolucjonistko. Niezły numer wywinęłaś z ojcem. Z ojcem, który z chwilą mojego poczęcia pożegnał wszelkie wybryki, a rodzina zastąpiła mu wszechświat. Gloria. A inni? Czy żyli inaczej? O czym rozmawiali przy obiedzie? Mówiliście: „oni jedzą dywany i na nie kładą szklane ryby”. Ta pogarda dla materializmu z waszej strony, to było coś aideologicznego. To była po prostu miłość do życia. Do życia dobrego i godnego. Bez umysłowej biedy.

Jest noc. Nie widać gwiazd. Przesłania je światło latarni. Czekam na tramwaj oparty o zardzewiałą barierkę. W dłoniach mam otwarty modlitewnik. Jeden z tysiąca, za którego słowami podążą moje oczy. To chyba jest Eugenia Grandet Balzaka. Przemierzam z nią strony. Kiedy skończę, zostanie ze mną na trochę. Potem o niej zapomnę. Zupełnie jak o dziewczynie, od której wtedy wracałem. Ja siedemnastoletni. Ona dwudziestka ósemka. Wysoka, szczupła, małe, sprytnie w doznawaniu przyjemności pierśsi. Jej ojciec zawisł na sznurze z własnego wyboru. Willa, siostra, niepełnosprawna matka. Nie zostałem na śniadanie. Wsiadłem w tramwaj, przejechałem przez śpiące miasto.

Nie ekscytuję się wschodami słońca. Większość z nich przespałem. Siadałem w fotelu przy balkonowych drzwiach. W fotelu, gdzie wydał ostatnie tchnienie nasz mądry i piękny pies Tipcio. Siedziałem dziesiątki, setki nocy, kończąc fotelowy uniwersytet. Mogłem. Nie musiałem rano nigdzie gnać. Służba bezpieczeństwa załatwiła mi zwolnienie z Technikum Ogrodniczego. Do tej śmiesznej szkoły przenieśliem się samoistnie po ukończeniu pierwszej klasy „dziewiątki”- szczecińskiego liceum uchodzącego za „ruski bastion” z uwagi na szczególne upodobanie dyrekcji do forsowania nauki języka rosyjskiego. Migrowałem w nadziei, że zdobywając „wiedzę agrarną” przybliżę się do spełnienia ideału egzystencjalnej niezależności. Myślałem wtedy tak: kupię, czyli kupią mi rodzice, kawałek ziemi, zbuduję sobie tam jakąś chatkę, a sad i ogródek wyżywią mnie nieomal w całości. Inspirację czerpałem pełnymi garściami - dosłownie i w przenośni - z jablek zrywanych z dziko rosnących drzew, lektury klasyków gatunku (Tołstoj, Rousseau, Thoreau) oraz kosmosu.

Siedzimy z Lajoszem (Wojtkiem Leśniewskim) u Herkulesa (Tomka Andrysiaka). W rogu złożona perkusja. Na środku pokoju sito. Drukujemy ulotki. Na pierwszego maja. Mama Tomka wnosi kanapki. Zagląda ojczym i częstuje winem. Sami już zdążyliśmy przezornie zakupić własne. Wiedzieliśmy, że czeka nas nie lada zadanie. Trzeba było napisać odezwę do ludzi pracy w imieniu szczecińskiego RSA. Ale co napisać? Po jednym winie nie posuwamy się do przodu ani na jotę. Po drugim wątpliwości jeszcze przybywa. Po trzecim - olśnienie. A pierdolić te wszystkie izmy. Niech szczeną. Na co człowiek pracy, w dniu wolnym od tej pracy ma naprawdę ochotę. No właśnie na co? W państwie ludowym. A może i w każdym innym. Oczywiście, marzy o maszerowaniu w słońcu lub w deszczu w pochodzie idiotów i składaniu hołdu swoim szefom. Czy to z pezetpeeru, czy to z jakiejś innej korporacji. Ni chuja. Chce odpocząć, chce miło spędzić czas. Tak właśnie jak my w tej chwili spędzamy miło czas słuchając sobie Dezertera, Kultu i Exploited, wcinając kanapencje, waląc winiuchą i jarając szlugi. Perkusja się składa, gitarka się pojawia, zespół założony. Lajosz, Herkules, mama Herkulesa, ojczym i ja. Po występie tekst już pisze się sam. Zachęcamy robotników, aby posłuchali głosu własnego serca i w dniu ich święta zmontowali ekipę, wyskoczyli za miacho, jakieś ognisko, tańce itd. Drukujemy do rana. Do ostatniej wolnej kartki. Padamy pokotem. Jest rok 87-my.

Nasze ulotki robią furorę. Zapelniają się nimi rozklekotane ikarusy i zgrzytające tramwaje. Lud chłonie lekturę. Na twarzach pojawia się konsternacja. I uśmiech. Mamy frajdę. Nikt nas nie łapie na gorącym uczynku. Solidarnościowcy też nie odpuszczają i podniosłe agitują. Że Bóg, że Honor, że Ojczyzna. A my: że Wino, że Zabawa, że Dziewczyna. Już nigdy ojcowie opozycji nam nie zaufają. Nazwą nawet, którąś tam kolumną komuny. Komuna będzie próbowała nas kupić. Ale, po pierwsze, prawdziwego anarchysty nikt nie skorumpuje, co najwyżej on skorumpuje system, a po drugie, co oni za świecidełka mieli.

Drukowanie tak nam wchodzi w krew, że zakładamy piśmanko o wszystko mówiącym tytule „Pranie Mózgu”. Linia redakcyjna została już „wytuczona” podczas kompo-

nowania pierwszomajowych ulotek. Do krótkich tekstów stanowiących antidotum na peerelowski system doszły rysunki. Razimy humorem. Nieregularnik capił pastą do butów. Z braku farby drukarskiej i ona się nadała w zastępstwie. Tyle, że takim czymś to tyłka sobie nie podtarłeś. W najlepszym wypadku mogłeś wygłancować buty. Wydaje się jednak, że naszemu zinowi nie groził taki los. Liczba czytelników była właściwie nieograniczona. Popyt znacznie przewyższał podaż. Co oczywiście nie oznaczało, że odbiorca podzielał poglądy redakcji. Byliśmy wbrew i byliśmy inni. To w zupełności wystarczyło, żeby odnieść wydawniczy sukces.

Na koncercie Karceru w klubie Pinokio w 86-tym zamiatał długim płaszczem podłogę tańcząc pogo. Kiedy zaczyna lecieć „Młodość walcząca” w górę wyrzucam kolejne papierowe zawołanie. Żeby pierdolić wojsko. Znam każdego pankowca w mieście. Ich akurat co do antymilitaryzmu przekonywać nie trzeba. Ale na gigi przychodzą też ciekawscy normalsi. Kitrają po kieszeniach uloty. Idą do kibla i czytają. Niektórzy wezmą kilka ze sobą. Większość wrzuci do muszli klozetowej. Aż się rury zatkają. Dostaję cynk od kiera klubu, żebym zbastował, bo właśnie wszedł mu do biura ubek i zagroził wydaniem zakazu organizowania koncertów. Brać pankowa w większości uważa, że należy dać sobie siana z czynną kontestacją. I tak to już z nimi będzie. Kręcenie się wokół własnego ogona. Mnie robi się tam za ciasno. Nie lubię klik. Lubię punk rocka. Zaiwaniam na wszystkie gigi. W czołówce moich ulubieńców są wspomniany Karcer, Abaddon, TZN Xenna, Deuter i, to zjawisko powszechne, Dezerter. Słucham Trybuny Brudu i Konwentu A. Na punkowy bit nakładają się nowinki gdańskiej sceny alternatywnej eksperymentującej z awangardowymi dźwiękami. Szczególną miętę czuję do nowofalowego Sni Sredstvom Za Uklanianie. Miażdży mnie koncert Klause Mitffoha w kinie Promień, dobija Kult w Kontrastach, a Holy Toy nieomal wypierdała w butów wprost na orbitę okołozemską. Do dziś nie mogę odżałować, że nie dałem rady zobaczyć ich w Pinokiu. Doszło do jakiś terminowych przesuwów i ja już na nową datę koncertu się nie załapałem. Out of Szczecin.

Zdejmuję zafarbowane na czarno moro i niewygodne rumuńskie glany. Noszę się luźniej i nonszalancko. Oczywiście jak na możliwości epoki. Na zdjęciach z tego okresu outfit czysto hipsterski. Duch wszelako buntowniczy mnie wypełnia. No może z niewielką domieszką abnegacji. I kolczyk trafia na lewe ucho. Najpierw srebrne kółeczko a potem srebrna obręcz okalająca czerń. Przedmiot ten wywołuje reakcję będącą mieszanką odrazy i zaciekawienia. U milicjantów, nauczycieli, meneli. Reakcję zdecydowanie większą niż noszony wcześniej orzełek w koronie. To jakieś dziwactwo. Co to ma właściwie znaczyć? Na wszelki wypadek lepiej zabronić. Wyjmuję go z ucha dopiero w 87-mym kiedy jego widok już powszednieje. Kolczyk, nieomal systemowy problem środka dekady lat osiemdziesiątych. To sporo mówi o obłędzie tamtych czasów.

Do domu w odwiedzinach zachodzą ubecy. Nie jestem w dobrym nastroju. Bo zachodzą z rana. Każę im przyjść później. Grzecznie czekają pod klatką. Nie mogą już zasnąć. Włażą ponownie na trzecie piętro. Mają nadzieję, że zabiore się z nimi na komisariat. Właściwie powinienem posłać ich do diabła. Ale ogarnia mnie jakiś bezwład. Mama robi inwigilatorom herbatę i testy psychologiczne. Siadają na kanapie. Mama chce się dowiedzieć na czym polega ich praca. Wypytuje o kwalifikacje. Sport. To byli pływacy. Jako że wygrałem wojewódzką ligę młodzików w biegu na sto metrów, jest o czym pogadać. Ale o leninizmie nie mają pojęcia. Szkoda, mówi mama, bo ja myślałam, że panowie to są ideowi. Ale w głębi duszy wie, że tacy ideowi, to mogliby być bardziej narowiści. Pływacy



wychodzą usłysawszy, że jak będą chcieli użyć siły to rozbiore się do rosołu. A panowie - mówi mama - tutaj na dzielnicy to facetów, co to do młodzieży się dobierają, nikt nie szanuje.

Ach, dzień się zaczął wcześniej. Idę z psem na działkę. Mijam obozowisko zomowców skoszarowanych w czteropiętrowym bloku. Za drucianym ogrodzeniem sukki i kabaryny stoją w dwurzędzie. W płocie jest dziura. Tą dziurą tępaki w szarogranatowych morach wymykają się po flaszki na pobliską melinę. Będzie i tak, że się na siebie nie raz natkniemy. Kupimy wódę i każdy w swoją stronę. Napruci czy nie, melina rzecz święta. Żadnych awantur.

Z kilkoma chłopakami z podwórka wpadamy na pomysł spalenia milicyjnych samochodów. Sprawa roznosi się i dociera do przerażonych rodziców. Tłumaczą nam, każdemu z osobna i wszystkim razem, że to nie ma sensu. Skutkuje argument, że o naszych planach wie już bezpieka. Żałujemy szczerze. Mamy przecież słoik benzyny.

Ale co robią te inne dzieci, nas jest zaledwie kilku, a ich są przecież tysiące? Siedzą z dupami przed telewizorem i oglądają dobranockę? Odrabiają lekcję i udają, że wszystko jest w porządku? A tu w porządku to nic nie jest. Chyba nie kupili Czterech pancernych i psa, z których to pies był najbardziej kumaty. A przecież gdzieś w okresie świąt państwowych wiszą czerwone flagi. Jaki obciach. Jak te bachory mogą przespać choćby jedną noc z czerwona szmatą pod oknem?

W mojej klatce mieszka dozorczyń. Jej mąż jest klawiszem. Ludzie ze wsi. Bardzo ich lubię. Inny świat. Mają trójkę dzieci. Pani dozorczyń robi zajebiste kluchy na parze z jagodami. Rodzice pożyczają jej materac, na którym wylegujemy się w lecie na balkonie. Zwraca zasikany. Tłumaczy, że to dziecko gości się złało. W chacie zakłopotanie. Da się to w ogóle umyć. Myjemy. Dało się. Tak wygląda komunikacja społeczna w domach z betonowej płyty. Jako dzieciak uwielbiam blokowe życie. Zawsze się coś dzieje. I zawsze jest ok. Do stanu wojennego. Potem zaczyna się wielka smuta. Kończy się raj. Okazuje się, że nawet na naszej klatce mieszka wróg. Że wróg ma popiersie Lenina. I wysoki stopień w aparacie represji.

Ale. Dozorczyń wiesza flagi. Chodzi z drabiną. Równie dobrze mogłaby przynieść prosto pod jedenastkę, gdzie mieszkają Sawiccy. Problemem nie są czerwone flagi. Problemem jest brak niebieskich. To kolor opozycji. Związkowe płachty mocują nieomal wyłącznie przy bramach dużych zakładów pracy. Trochę trzeba się nachodzić za nimi. Z flagi niebieskiej i z flagi czerwonej, wiadomo, wychodzą barwy Pogoni. Pani Arabczykowa ma maszynę do szycia. A nasza ulica wiesza najwięcej sekrówek na meczach. A jakże.

Ubek ma na nazwisko Gawron. Ponoc to były bokser. Wali pięścią w stół. Wkurwia się, że nie podają choćby swojego imienia i nazwiska. Że odmawiam składania zeznań to norma. Ale dane personalne. To novum. Wiadomo,



wszystko co nowe system denerwuje. Miałem zasadę i ona okazała się bardzo pomocna w przymusowych kontaktach z funkcjonariuszami: całkowita zlewka. Od początku do końca. Zlewka doprowadzona do ostateczności. W ten sposób szybko zostałem zaliczony do grupy osób nieprzemakalnych. I nie podbijali ze współpracą. Jakoś pewnie moją radykalną postawę tłumaczyli sobie antykomunistycznym fundamentalizmem. Nie przepadali za mną. Jak zamykali na cztery osiem, nie puszczali wcześniej. Wściekli pofatygowali się do szkoły, żeby kazać dyrektorowi wywalić mnie na zbity pysk. Posłusznie wykonał. Gościu miał uzasadnioną opinię żuła i łapówkarza. Natomiast odwagi, żeby spojrzeć mi w oczy, za grosz. Liczyłem na to, powodowany zwykłą upierdliwością, że usłyszę, jak się płacze tłumacząc swoją decyzję. Zwiął. Knypek w wytartej marynarce o przepitej facjacie. Dość szybko zmarł.

Nie ma widoków na skończenie szkoły średniej. Trafiam na czarna listę. Nieoficjalne zarządzenie z kuratorium. Ten koleżka w Szczecinie się nie pouczy. Jaja mieli jedynie Niemoćko z Buksem. Zadeklarowani komuniści. Naczalstwo „dziewiątki”, z której wyfrunąłem, żeby uwolnić się od wpływów rusofilskich. Wyrazili wolę ponownego przyjęcia mnie do szkoły. Ja na to nie miałem najmniejszej ochoty. „Synu - zaapelował ojciec - maturę musisz mieć. Komuna nie komuna. Bez matury na studia się przecież nie dostaniesz. Mam pomysł. Skończysz niższe seminarium duchowne”. Z twarzy ojca bił taki zapal i nadzieja, że nie byłem w stanie mu się oprzeć. Na szczęście opatrzność czuwała.

Był 87-my. Grudniowa, dwutygodniowa głodówka za Sławka Dutkiewicza. Sławek zamknięty za odmowę służby wojskowej rozpoczął protest głodowy i był dokarmiany siłą już od kilku ładnych miesięcy. Mieliliśmy nadzieje, że razem z nami zakończy głodówkę. Że damy mu do tego pretekst. Ułatwimy decyzję. Zwracamy się do Sławka z apelem, żeby razem z nami przerwał radykalny protest. Baliśmy się o niego. To już nie były żarty. Ten jednak zdania nie zmienił i aż do zwolnienia z więzienia odmawiał jedzenia.

W połowie głodówki, która odbywała się w Warszawie w mieszkaniu Ronalda Kruka, zawijam gdzieś w Polskę, ni cholery nie jestem sobie w stanie przypomnieć gdzie, coś mi tam świta, że może to było w Bydgoszczy lub pod, żeby spotkać się z szefunciem seminarium. Kolo w sutannie przyjmuje nas, czyli protoplastę i potomka, w obszernym gabinecie. Coś tam ze starym musiał już sobie wcześniej pogadać przez telefon. Nie za dużo zapewne, bo szybko dochodzi do paranoi. Mnożą się pytania natury religijnej. W końcu pada fundamentalne: „wierzysz w Boga”? Ojciec wybałusza na grubego, sorry, nie wspominałem, że boss był obły, gały. Robi mi się go naprawdę szkoda. Taki kawał drogi się telepał, a tu, masz babo placek, buc. Co było jednak robić. Odpowiadam: „Prze księdza, szereg mam wątpliwości pod tym względem. Daru wiary ewidentnie nie otrzymałem. Droga, widać, inna mi pisana”. Ano w rzeczy samej musiał się zgodzić ze mną w swojej głowie nadobny, bo pogonił nas w pizdu z tej całej katolickiej szkoły. Musiałem pocieszać fadera, że nie wszyscy księża to chuje. „Ojciec - zapytałem - ale co on ci powiedział jak zostałeś z nim sam”. „Powiedział, że jesteś indywidualistą i może mieć z tobą problemy. A on tu misjonarzy przygotowuje. I że mógłbyś ich na złą drogę sprowadzić. A ja, synu, zawsze właśnie chciałem, żebyś miał własne zdanie. I sam do wszystkiego doszedł. Żebyś nie laźł za tłumem. Bo z takiego tłumu to się komunizmy i faszyzmy biorą. Masa. Ty nie możesz być żadna tam masa. Jakakolwiek by ona nie była. Choćby i chrześcijańska. Ty musisz sam z siebie odrzucić zło w drodze poznania. A nie, bo ktoś ci tam każe”.

Ojciec abdykował już znacznie wcześniej. Rok w rok subtelnie minimalizował swój wpływ na latorośl. Tak sobie czasem i myślę, czy aby nie za wcześnie i nie za dużo tej wolności dostałem. W opisaney sytuacji okazał się, bezdyskusyjnie, prawdziwym herosem. Głęboko wierzący katol, kiedy przejechał się na instytucji, którą kochał, rozpoznał prawdziwego ducha i poza nią. Żeby w pełni zrozumieć wielkość faceta, nie powiem, musiałem poczekać jeszcze kilka lat.

Pałę jointa. Michnik nie chce wziąć nawet maska. Co innego Celiński. Ten bufa. Mieszkanie Jagusiaków. Wielkie Żarcie. Czyli spotkanie w dwa tygodnie po zakończonej wspomnianej już głodówce za Sławka. Umówiliśmy się, że skoro przez czternaście dni wspólnie nic nie pałaszowaliśmy, to jakaś rekompensata nam się należy. Każdy przygotowuje dwie potrawy. Kompletny odjazd. Ludziska tachają ze sobą wielorakie smakołyki z różnych miejsc w Polsce. Kotwiczymy w Zoppot. Pojawia się też sporo zaprzyjaźnionych osób z opozycji, które udziału w głodówce nie brały. Dyskusje, tańce, szamka, alk i marycha. Mnie interesuje wtedy najbardziej Lila. Gwiazda warszawskiego NZS-u. Smakują jej zrobione przez moją mamę faszerowane jajka i smażone kalmary. Smakuje wino i joint. Smakuję ja. Kończymy w wannie. Z gorącą wodą. Z gorącą, bo wcześniej (styczeń!) włączymy prawie po szyję do morza. Wszystko to przeżyliśmy. Nietknięci chorobą. Głodni siebie, świata, wolności. Odporni na kłamstwa i obłudę „centrali”. A tam, wysoko, na szczycie babilońskiej piramidy, kostyczny abstynent w mundurze i czarnych okularach kombinował jak tu zrobić, żeby wyszło na jego. Życie seksualne generała położyło się cieniem na polskiej racji stanu. Oczywiście, mogło być znacznie gorzej.

Wracam od Lilii z Wawy. Plecak napchany bibułą ponad miarę. Ciężki jak sam skurwysyn. Ósemki. Rewizje na peronach to norma. Granatowy plecak i przytłoczony jego wagą długowłosey brodac, cóż, zasady konspiracji były mi obce, trzeba sobie otwarcie powiedzieć. Na domiar złego, wiem, to wręcz komiczne, przewracam się na plery tuż przed przyjazdem pociągu. I co, dwóch milicjantów pomaga mi wtaszczyć bagaż na korytarz, a ludziska upychają na półce w przedziale. To se ne vrati.

Inaczej sprawy się miały w Częstochowie. Tam było jak w westernie. Wakacje 87. Pod dworcem rewizja. Wpadam z bezdebitem. Niepełnoletni dywersant. Zamknęliby jak zwykle na izbę dziecka. Ale ponoć w Częstochowie nie mają. Komplikacja. Ładuję pod celą na komendzie milicji. Sam samusieńki. Wcześniej przesłuchuje mnie jakiś typ od trudnej młodzieży. Plecie coś trzy po trzy. Torturuje bełkotem. Za to daje mi kanapki z plastrami kiełby krojonej na ukos. Dłuższe.

„No, czegoś ci potrzeba”? - pyta.

„Wie pan co - ja już mam prawie siedemnaście lat. Fajnie by było, skoro tu nie macie tej izby dziecka, to żebyście mnie jutro normalnie wypuścili i żeby ojciec nie musiał mnie odbierać osobiście. Ile czasu musiałby się tłuc ze Szczecina. A poza tym to on w pełni popiera moją działalność. Zresztą jak pan posłucha sobie dzisiaj Wolnej Europy, to pewnie będą mówili o moim zatrzymaniu. No i może pan zadzwonić do bezpieki w Szczecinie, to panu potwierdzą, że w sądzie toczy się sprawa o pozbawienie moich rodziców władzy rodzicielskiej, bo, hm... na antykomunistę mnie wychowali, tak z grubsza”.

„Dobra, dzieciaku, ty idź już spać, a ja zobaczę co da się zrobić”.

Jestem styran, ślepie wywracają się na drugą stronę. Zasypiam w ubraniu pod brudnawym kocem wpatrzony w oko wizjera, które mrugnie blaszaną powieką nim zapadnę się w długi sen. Budzi mnie chrobot przekręcane go zamka. Szczerze, to bym sobie jeszcze polulał. Dostaję

michę i pismo niebywalej treści. Micha nie najlepsza a pismo stanowi, że do godziny dwunastej zero zero mam bezwzględnie opuścić miasto Częstochowa. Szeryf od białej gumowej pałki wygnał mnie za granicę grodu, co to się szwedzkiemu potopowi oparł. Pałę se peta, walę oranżadę i niczym kowboj outsider wolnym stylowym krokiem idę do autobusowego dworca. Wieże klasztoru paulinów są jak z bajki, jak z bajki jest wygnańczy nakaz kierowany przez komendanta milicji do szesnastoletniego gówniarza. W to mi graj. Absurd.

Ja wiem, może i absurd. Ale czy nie większym absurdem było udawanie, że wszystko jest cacy i codzienne częstowanie się fałszywymi uśmiechami. I pokorne konsumowanie „dóbr socjalistycznego postępu”. Wciąż te same pytania. Jak oni to robili, jak potrafilo biernie funkcjonować w wynaturzonym świecie? Konformizm. Też mi konformiści za dychę. Tyle mieli z tego fanu co im radio zagrało i telewizja pokazała. Peerelowska wersja leminga talonowego. Do diaska, jak takie życie może cieszyć?

Jest zatem ewidentny związek z nieokiełznaną radochą a anarchizmem. Moim anarchizmem. Dlaczego mam nie żyć po swojemu, w zgodzie z własnym sumieniem i z poszanowaniem poglądów innych na świat, który musimy współdzielić. Jak może ktoś wmawiać mi co jest dla mnie szczęściem. Nie zrobię ci krzywdy o ile ty nie zrobisz krzywdy mi. To minimum. Dalej daj mi iść moją własną drogą. Komprende? Przecież to takie proste. Tak, wielu chce być prowadzonych za rękę. Tak im wygodniej. Kombinować w stadzie. I czasem jest dobrze napuścić takich na te dziwaczne indywidua psujące krew oligarchom. Zając czymś zgrają. Dać im emocję kontrolowaną i ukierunkowaną. Potwierdzi ona słuszność wyboru. Siedź na grzędzie i wysiaduj panu swemu jajko. Niemniej łaska tłumu na obiecaną do pożarcia świni jeździ. Problem to taki, że uczciwy anarchista prędzej wstąpi do falangi niż powie komuś, że jego sprawy za niego ogarnie. A cwany satrapa obieca prosiaczka za mir. Tyle, że twoja wolność jest w twoich rękach. Owszem słabszemu pomóc. Nikt jednak za nikogo jego życia nie przeżyje. Tak rozkminiałem obserwując jak ludzie z niebywałą łatwością odwracają się od siebie samych. Za bezcen. Okrutna sprawa. Wróćmy do faktografii.

Zaiwaniem na pociąg. 89-ty. Jastrzębie-Zdrój. Kongres Opozycji Antystrojowej. Przecinam boisko piłkarskie na Pomkach (tak nazywano powszechnie dzielnię, na której mieszkałem, woryginale Pomorzany). Na bieżnię z piskiem opon wjeżdża milicyjny polonez. Mógłbym spokojnie im zwać. Ale mi się zwyczajnie nie chce. Z auta wyłazi dzielnicowy. Znam go, bo kiedy z pęcherzem wypełnionym moczem jak kondom (popularny zamiennik dla smoczków) wodą na dyngusa śmigusa szczam za garażem ledwie co wybiegłszy z autobusu na końcowym, milicjant wizytuje właśnie te miejsce stanowiące jednocześnie obiekt włamania.

Tak, garaże i piwnice, to była domena drobnych złodziejasków. Wpadali jak śliwki w kompot. Ciężko im było upłynąć fanty. Moi rodzice wystawiwszy na próbę uczciwość społeczeństwa socjalistycznego byli rzadkimi nieszczęśliwymi pozbawionymi na zawsze pięknych czarnych radzieckich rowerów Ural z metalowym emblematem kozicy na ramie. Tak pięknych jak ciężkich. Przymocowali je na samym dole klatki schodowej do kaloryfera. Przetrwały niecały miesiąc. Miałem wtedy z 10 lat. Były jak wołgi. Magiczne. Dla mnie za duże. Chciałem doczekać chwili aż będę mógł na nie wsiąść.

Co tam na boisku? Ano dzielnicowy pyta, gdzie się wybieram. Czuję opór przed posłaniem mu wiąchy obelg. Jakoś ta sytuacja fizjologiczna z niedalekiej przeszłości mnie krępuje.

„Wie pan co - mówię - a jadę sobie na Śląsk. Komuna już zdycha. I są tacy co się z nią dogadują. A mnie się to nie podoba. I śmigam pogadać sobie z nimi jakby to pokrzyżować plany temu pseudoporozumieniu narodowemu. A panu radzę, żeby się ode mnie odpiardolił i zajmował dalej kradzieżami. Bo wie pan co? To już koniec Jaruzela. Niech pan się trzyma od tego syfu z daleka”.

Chłopaczyna o nieprzekonującej do niczego budowie ciała bierze mnie na bok.

„Słuchaj, masz coś w tej torbie”?

„Może mam, a może nie mam” - odpowiadam. Prawda jest akurat taka, że jest czysto.

„Ok. Ja tylko zajrzę do środka, niby że cię przeszukuję obywatelu. Żeby tamci widzieli. A potem sobie idź gdzie chcesz obalać tę komunę”.

Mija połowa doby. Pukam na gliwickim blokowisku pod wskazany adres. Otwiera mi drzwi jakiś taki chłop z mordą jak niewypał. Cóż, myślę sobie, to górnik pewnie. Taka tu przecież opozycja. Owszem, może to i był kiedyś górnik. Teraz to jednak jest ubek. A wraz z nim, pięciu innych. Znaczą się kocioł. I klimat jak na gestapo. Nie to co w lajtowym Szczecinie. Czuć, że tu był Wujek. A nie Kaskada i Pewex. Niby koniec PRL-u a metody kozackie. Wrzaski, szarpania. Kajdanki. Rewelka. Za wsiąź i do budy. Na wojewódzką komendę w Katowicach zwaną z racji swoich gabarytów „pentagonem”.

„Odmawiasz zeznań, tak. A to proszę bardzo. Trzy miechy posiedzisz to zobaczymy. Bo wiesz, kurwa, pasujesz jak ulał do gościa, który zaciukał nożem innego gościa w Bytomiu na dworcu. Masz czerwoną czapkę”?

Co oni pierdola? - myślę sobie. To jakieś kompletne zjebny na tej Silezji.

„Kolego, albo nam powiesz co robiłeś 10 stycznia, albo cię na dołek bierzemy”.

Nie, to już jakiś totalny absurd, przecież 10 stycznia są moje urodziny.

„Panowie, nie wiem co wy tu odpiardalacie - odpowiadam - ale 10 stycznia balowałem. Zajebałem się w trupa. W Szczecinie. Na co mam od chuja świadków. Moglibyście coś lepszego obstalować. Chociaż, żeby akurat wpaść na to, że w moje urodziny częstuję kolesia kosą w Bytomiu, to trzeba być wybitnym, nie powiem, funkcjonariuszem”.

„Dobra młody, żarty się skończyły, idziesz do kłitki. Chyba że, co ci wisi, zaoszczędzimy sobie tego cyrku, napiszemy, że nie mogło cię być w Bytomiu, bo miałeś urodziny i w Szczecinie piłeś”.

Pierwszy i jedyny raz składam zeznanie. Chyba jedno groteskowe zdanie, kończące chorą narrację: że nie zabiłem kolesia w Bytomiu, bo obchodziłem uro w Sz. Jest to paranoja paranoi. Cóż, Śląsk to Śląsk. Za drzwiami słyszę chóralnie śpiewane Bandera Negra. Dowieźli Kraków. Kurzyniec z ekipą. Tego nawet śląskie pierony nie są w stanie przetrzymać. Odwożą nas gromadnie autobusem na miasto, skąd walimy na konferencję.

Mogłem pójść do KPN, RMP, zostać przy FMW. Zakochałem się w anarchizmie. Tak, to dobre słowo. Moja miłość dostała słodką pożywkę w postaci pełnej akceptacji rodziców dla moich wyborów. Czym jest więc ten osławiony anarchizm? Cóż, jest po prostu życiem, życiem przeżywanym w pełni i z godnością. Nie jest frazesem, ideologicznym kojcem. I taka jest różnica pomiędzy nim a wszelkimi innymi politycznymi doktrynami. Przynajmniej ja tak to widzę.

Oficjalnie maznąłem RSA na murze jako podpis pod dziełem chyba w 85-tym do spółki z Herkulesem i kimś jeszcze. Morze z Myszą z FMW. OLEJ WOJSKO - RSA. I tyle. Na ceglanej ścianie odgradzającej pacjentów szpitala na Pomorzanych od zgiełku komunikacyjnej arterii i ciszy pobliskiego parku. Hasło mówiące samo za siebie. Myśla-

łem wtedy jak Korczak. Zaczepiony przez jakiegoś patriotę we wrześniu 39 zdziwionego, że paraduje w mundurze polskiej armii, mniej więcej temy słowy: „Pan taki krytyk polskości i drylu wojskowego w mundurze, drogi panie, co się panu stało”? Korczak spokojnie odpowiedział: „Nie ma w tym nic dziwnego, zwykłem stawać po szlachetnej stronie i zawsze po stronie słabszego. Co innego za sanacji, wtedy to był wstyd przyznawać się do jakichkolwiek związków z wojskiem”. Tak to chyba mniej więcej szło.

No właśnie. Ja, wczytujący się w losy Zośki i Rudego, przejęty dramatem Baczyńskiego, Gajcego, Szczepańskiego, Stroińskiego, Bojarskiego, ja, który z pewnością też pognałbym na Niemca, choćby z flaszką benzyny, albo gołymi rękami dusił nazistów za szyję, nakłaniam do bojkotu wojska. Wyjaśnijmy od razu. Mogę uczestniczyć w sporze dzielącym argumenty za pacyfizmem lub czynem zbrojnym. Ale w spór o charakter i wartość LWP podległego sowietom nie wchodzę. Szambo nie służy do kąpeli. I za szambo mam LWP. I tak mi już po wsze czasy zostanie. Najpierw odraza wobec przeżenionego etosu. Karykatury bez honoru w najlepszym wypadku z jaźnią rozdwojoną na Polskę i Układ Warszawski. Na Lenino i Katyń. Nie, nie, nie. Od tego gówna będę trzymał się z daleka. Potem dopiero pojawia się Gandhi, King, Schimek, Ossietzky, filozofia non violence i głębsze przemyślenia na temat walki bez przemocy i obywatelskiego nieposłuszeństwa.

To nie jest zła koncepcja, kombinuję. Dobra strategia na obecne czasy. Nie kooperować z czerwonym na jakiegokolwiek płaszczyźnie. Gromadnie. To już nie epoka stalinowska. Mogą nam naskoczyć. Bez rozlewu krwi i skutecznie. I jawnie. Ok. Wchodzę w to.

Część kolegów z opo miała ze mnie polewkę. Hipsizm zarzucali. Oni poszli do lasu. Partyzanci. Spotykali się pod sosną i konspirowali. Finką wycinali w korze Pe Wu. A mną, jako tym politycznym nieudacznikiem, co to nie chce w podziemi konspirować z bronią w rękę, ZOMO ulice podczas demonstracji sobie wyciera. Hańba. Oni, bojownicy, przenigdy nie pozwoliliby na taki dyshonor. Ach partyzanci. Czasem ich spotykam. Z latami jeszcze bardziej się zradyzalizowali. I wspomnieniowo i ideologicznie. Prawdziwi patrioci kombataneci. To od ich ideowej ofensywy rozpadł się Układ Warszawski. Bez dwóch zdań. Przed wyprawą na mury pocałunki. Anka biega przez płotki jak górska kozica po skałkach. Ja biegam po niej palcami. Dziewczę ryczy. W tle Kaczmarek podkreśla uczucia bohaterów. „A jak cię złapią to co wtedy”? A bo ja wiem. Coś tam odpowiadam, że tak przecież trzeba, że to okupacja, że trudno. Prawda jest taka, że kompletnie się nie zastanawiam, co by było, gdyby. Mam szesnaście lat. Nie od tego jestem, żeby tworzyć syntezę. Jestem żeby czuć. I zajeżdżacie dobrze czuję w tym komunistycznym syfie Ankę a ona mnie. Więc gnam na mury z farbą a ona zasypia płacząc, zamartwiając się i tęskniąc. Jebany polski romantyzm epoki politruka genseka w niemodnych okularach.

Uwielbiam lody. Wiem, są niezdrowe. Zawsze je uwielbiałem. W lecie codziennie od mamy dostawałem rybaka na dużą porcję. Wolałem zjeść małą i dorzucić koledze z patolki resztę, żeby też mógł poczuć ten sam smak co ja. Tak, to moja cecha, może słabość, bo przynosi dużo rozczarowań. Empatyczna chęć odczucia przyjemności, dobra, piękna. Wiele z tego pożytku nie ma. Są jednak chwile fundamentalne. Słupy milowe lajfu. I mają one swe źródło we współodczuwaniu. I właściwie mam tylko jeden problem, jak moją wolność zgrać z czyjąś wolnością na dłużej. Dlatego często chodzę na lody sam. Znam w Szczecinie chyba wszystkie miejsca, gdzie je serwują. Jest takie jedno na podupadającym osiedlowym ryneczku. Budka z automatem wypychającym z siebie pod dyktando



odwiecznych lodziarzy dwa smaki jak z krowich wymion: śmietankowy i wiśniowy. Receptura zamierzchła. Niczym stylowość wiekowych właścicieli. Czy ciągnie mnie do starszego pana i pani sentyment za smakiem dzieciństwa? Może. Ale chyba mocniej ich przekorna elitarność. Kuwety ład chłodniczych wypełnione całą paletą smaków na głównych alejach mojego miasta opróżniają się w szybkim tempie. Na języki biorą przyjemność tysiące ludzi. Płacą i wypierdalają traktując zakup w kategoriach niezauważalności. Ja przeżywam każde liźnięcie jakbym dotykał jęzorem absolutu. Moje lody zrobili ludzie i ludzie mi je sprzedali. A lody z głównych alei, czyż nie zrobiły ich maszyny i czyż maszyny ich nie sprzedają? Czy w takiej sytuacji nie wydaje się być uzasadnionym pytanie o upodobnianie się kupującego do sprzedającego?

Wszystko zlewa się w jedną bezkształtną masę. Breja umysłowa. I jak to jest, że mieliśmy mieć nowego wspaniałego demoliberalnego człowieka a mamy magmę chwalcą się na fejsbuku kolorem kupy. Jak to jest, że być może łatwiej było być anarchistą kiedyś, bo był to klub poddany ostrej selekcji, jakkolwiek dyskusyjny, niż w obecnych czasach, kiedy to przecież każdy jest właśnie nowy i wspaniały i kiedy to względna wolność uczyniła z ludzi kompletnych imbecyli i imbecyizm wyniosła na ołtarze. Głupota stała się substytutem eucharystii lyanym przez wyzwolone z zabobonu wiary społeczeństwa.

Widzę starowinkę klęczącą pod nieco starszym od niej drzewem. Na zardzewiałym gwoździu wbitym w grubą korę wisi obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Nieopodal wije się linia graniczna pomiędzy Polską a Czechami. Kobieta przyniosła polne kwiaty. Z moim, wtedy dzieścioletnim synem, chcemy przejść wąską ścieżką nie niepokojąc staruszki. Nie udaje się nam. Podniosłszy się z kolan babinka opowiada nam historię świętego obrazka. Stoimy w cieniu, w środku ciepłego dnia wpatrzeni w twarz człowieka, który cofa się w przeszłość nieomal o cały wiek. Słyszymy tętent konia i upadek panicza. Chłopiec leży nieprzytomny. Znajdują go okoliczni wieśniacy i próbują ocucić. Bez skutku. Bezradni zaczynają się modlić do Najświętszej Pani i Dzieciątka Jezus. Młodzieniec otwiera oczy, powoli odzyskuje świadomość. Nie może jednak ruszyć się z miejsca. Jest sparaliżowany od pasa w dół. Pojawia się, powiadomiony o wypadku, ojciec. Potem lekarz. Chłopiec zostaje przeniesiony na drzewiach od stodoły na drabiniasty wóz wyciąłany sianem. Po kilku godzinach pod drzewem pojawia się ponownie ojciec, który jest czeskim hrabią. Polscy chłopci powiedzieli mu wcześniej, jak Maryja i Chrystus wysłuchali ich modlitw i jego syn odzyskał przytomność. Czech ma pod pachą obraz. Ten sam co wisi nad naszymi głowami, gdy wsłuchujemy się w słowa staruszki. Hrabia przymocowuje obrazek do drzewa i prosi miejscowych o modlitwę. W zamian obiecuje pomoc w sprawach o jakie do niego by się

zwrócili. Według babci modlitwy okazały się skuteczne i chłopiec odzyskał zdrowie, a wdzięczny ziemianin pomagał wsi przez całe lata wywiązując się z danego słowa z nawiązką.

Zaliczam cywilizacyjny comeback. Odpalam kompa i fejsbukowy ściek zalewa mnie tandetą uczuć. Halo babciu, tęsknię za tobą. Nie sprzedajesz kitu. Nie wrzucasz fotek spod piramidy Cheopsa. Nie wspominasz nawet mimochodem o wielbłądzim garbie drażniącym twój clitoris. Nie rozwodzisz się godzinami nad tematem gaci. Nie dostajesz stu lajków, bo przynajmniej się do kupna wibratora. Wiem, wiem, oni i one mi zaraz powiedzą, że na stół miałeś kiepskie życie erotyczne. Odpadam, odpadam od tej całej społecznej lipy, i wiesz co babciu, biorę cię na spacer i wypierdalany w dębinę poszukać prawdziwków. I tutaj jest pełna anarchia. Grzyby są prawdziwie transseksualne. Sroki są awangardą postfeminizmu ostatniej fali i podrzucają jajka sowom do wysiedzenia. Bo sowy takie mądre. A komarzyce matriarchalnie ssą naszą krew.

I jak to było z tym anarchizmem? Ano tak, że kiedy stanąłem umorusany od stóp do głów czarną breją wróciwszy w pierwszej klasie ze szkoły, dobrze już spóźniony, rodzice z przerażeniem zapytali co się stało?

„No, tam, po drodze, przy tym starym domu była wielka kałuża. I... no, pobawiłem się trochę”.

„Ale przecież prosiłam cię – powiedziała zasmucona mama – synku, dostajesz nową kurtkę, nie uswiń jej. A ty nawet jednego dnia nie wytrzymałeś. Nie rozumiem, czemu się tak zachowałeś?”

„Mamo, ja ci to wytłumaczę, ja... ja po prostu kocham błoto”.

Po tych słowach rodzice złapali się za brzuchy i niemal nie pękli ze śmiechu, a szczęśliwy jamnior dołączył się radosnym szczekiem. Inne dzieci były pewne, że spotka mnie w domu jakaś masakra. Dlatego z ciekawości sterczały na klatce piętro niżej wyczekując odgłosów rzeźki. I sterczą tam po dziś dzień zawsze piętro niżej od samych siebie, słysząc w najlepszym wypadku czyjś śmiech i szczekanie psa, a ja zasuwając na grób rodziców mam w sobie dozgonną wobec nich wdzięczność za przekazany w genach i uczuciach ładunek dobrej emocji pozwalający mi zachować duchową niezależność i mieć wyjebane na blichtr tego świata.

PS. Dla ceniących sobie intelektualne spekulacje. Jak to jest, że ten pogrążony w depresji Cioran tak skamłają za sensem i uczuciem, jest skłonny wybrać samego siebie i na rzecz własnego ego poświęcić całą ludzkość, a ten niby auczuciowy hedonista Gombrowicz, co to miłość nie robi na nim, rzekomo, większego wrażenia, drze się w niebogłosy: dajcie mi człowieka!?

Wojciech Stan Mazur „Hryń” (Hrun)

## WSPOMNIENIA ROBOŁA Z PODZIEMIA

Wyjąłem słoik ze szafki. Odkręciłem pokrywkę i postawiłem na stole. Zawsze trzymam takie relikwie głęboko za papierami i książkami, tak żeby nikt nie widział i nie próbował wyrzucić. Nie chcę się też tłumaczyć, dlaczego trzymam gdzieś głęboko jakąś czarną zaschlą i śmierdzącą skorupę. To jest jeden z przedmiotów, które zabrałem ze sobą z kraju jako pamiątkę. Podniosłem ten słoik na wysokość moich oczu i zacząłem oglądać. Obracałem słoik wokół własnej osi pod światło i ze światłem. Pod kątem i do góry dnem. Zawartość jest tak gęsta, że nie przemieszcza się w słoiku i zachowuje swój kształt. Błyszcząca smolna maź w słoiku wygląda tak ładnie i czysto, że aż trudno uwierzyć, że po dotknięciu i ubrudzeniu rąk pozostawi ślady pod paznokciami na długi czas nawet po dokładnym myciu. Po otworzeniu wieczka zapach wyodróżnia pamięć i przynosi na myśl czasy, kiedy się drukowało całą noc. Po druku zawsze myłem ręce bardzo długo i wściekałem się jak nie schodziło. Wkrótce miała być impreza u „Suchego” na Zaspie a ja miałem farbę drukarską pod paznokciami. No nie da się tego ukryć i będzie odrażające w towarzystwie. Musiałem to wymyć dokładnie a przy tym usunąć zapach. To było zawsze moją paranoją, że wszyscy będą czuć zapach farby i rozpoznawać bez problemu, że jestem drukarzem. Strach przed wpadką przeczulił mnie trochę w tej sprawie. Pamiętam kiedy zgarnęli mnie podczas spaceru w nocy z drugiego na trzeciego maja a jeden z tajniaków w trakcie wsadzania mnie do samochodu zwrócił uwagę, że czuje zapach farby – „Czujesz? Malarz...” – powiedział do innego wpychając moją głowę pod dach samochodu żeby się nie uderzył przy wsiadaniu. Tak jakby to miało jakieś znaczenie. Przecież od nich można było dostać po łbie za byle co. Byłem po imprezie i miałem trochę w czubie i nie bardzo jarzyłem, co się dzieje. Dopiero po kilkunastu sekundach zrozumiałem, że zapach pokostu wylanego na moją torbę przypadkowo przez kolegę w trakcie pisania ściąg maturalnych podjęty był przez ubeków jako znak, że mam farbę w torbie. Po

kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że to jest już poranek trzeciego maja i „podziemie” maluje po ścianach „hasła świąteczne”. – „Jaki tam malarz? Po prostu zostałem obłany pokostem...” – odpowiedziałem jak najlepiej i najrozumialej mogłem w tym stanie. Spojrzałem na tajniaków, którzy wyglądali jak lumpy ze śmietnika wyjęte i zauważyłem dezaprobatę na ich nieogolonych twarzach. „Dobrze, dobrze... Na komendzie wszystko sprawdzimy...” – odparł jeden z nich i dalej jechaliśmy w milczeniu. Zacząłem analizować sytuację i na początku musiałem sobie uzmysłowić, że dom i drukarnia są bezpieczne. W myślach analizowałem sytuację, co dawało mi poczucie spokoju. Wiedziałem, że mam wszystko wysprzątane w pralni a ramka, farba, wałek i reszta sprzętu przerzucone do schowka w innej piwnicy. Maszyna do pisania, której nie wolno trzymać w wilgoci i zawsze jest w mieszkaniu tym razem była u sąsiadów wraz z małym zbiorem bibuły. Byłem czysty i bezpieczny, więc zacząłem rozważać, co mówić na komisariacie. Tymczasem na miejscu wszystko się samo rozwiązało podczas przeszukania moich rzeczy, kiedy to milicjant wyjął z torby butelkę żytniej, dwa ogórki i kilka podręczników do matematyki. Na dnie torby zobaczył plamę po pokoście i to wszystko wydało się jemu na tyle prawdopodobne, że po spisaniu danych wypuścił mnie do domu.

### Genesis

Na początku był Sierpień roku pamiętnego. Nagle w ciągu kilku dni każdy stał się przyjazny i uczynny jak dobry znajomy. Pomoc wzajemna była sposobem na dzień. Komunikacja nie funkcjonowała a mój brat Krzysiek siedział na strajku w Rafinerii. Ojciec siedział w Fosforach i jak się dowiedzieliśmy pocztą pantoflową, robotnicy mieli tam dobrą kuchnię, więc nie martwiliśmy się zbytnio. Krzysiek natomiast miał wrzody na żołądku, więc długo by nie pociągnął na zakładowym wikcie. Puściliśmy się pieszo z Grzegorzem z menażkami pełnymi jedzenia przez miasto



aż do rogatek. Na wysokości stadionu żużlowego minęliśmy ogonek taksówek na postoju, ale nie braliśmy, bo pieniędzy nam brakowało. Wyszliśmy z miasta kierując się w stronę rafinerii, idąc przy drodze wyjazdowej. Przeszliśmy kilkaset metrów kiedy zatrzymała się przy nas jakaś taksówka. Kierowca zapytał szybko czy my czasem nie zmierzamy do Rafinerii z jedzeniem dla strajkujących. Kiedy usłyszał potwierdzającą odpowiedź zaraz otworzył drzwi i zaprosił nas do środka. My na to zgodnie, że nie mamy czym płacić. Jak do strajkujących w Rafinerii to za darmo - odparł na to i szerzej otworzył drzwi do samochodu. W drodze rozmawialiśmy o strajkach i dało się wyczuć entuzjastyczne poparcie dla strajkujących. Taki to był czas, że każdy chciał być pomocnym i chciał uczestniczyć w jakimkolwiek sposób w tym wydarzeniu. Ponieważ strajk taksówkarzy nie miałby znaczenia, więc zdecydowali, że będą podwozić takich jak my za darmo w ramach poparcia dla strajku. Wszyscy wiemy jak to się potem rozwijało i jak po zwycięstwie w sierpniu wszyscy mieli nadzieję na jeszcze większy sukces. Ten sukces miał być sukcesem nas wszystkich, sukcesem dla Polski i Polaków. Niestety nie wszyscy Polacy byli tak rozentuzjasmowani tą nowo rodzącą się wspólnotą Polaków. Wielu z nich myślało dzień i noc jak przywrócić dawne czasy kiedy jeden drugiemu był wilkiem a oni mogliby dla Moskwy i własnej prywaty załatwiać interesy. Wkrótce wszystko to runęło po wprowadzeniu stanu wojennego. Zaczęło się rozżalenie, apatia i nierzadko wściekłość. Dymy rozgorzały w mieście. Było głośno i śmierdziało wokoło gazem łzawiącym. Na moim podwórku uczestniczenie w demonstracjach było jak uczęszczanie do kościoła. Regularnie, bez spóźnień i ze szczególnym „namaszczeniem”. Z „linii frontu” przynosiło się jakieś zdobycze, żeby na podwórku do kumpli się pochwalić. Często była to wypalona łuska po petardzie lub gaz łzawiący, przetrzymywane w worku foliowym ukryte gdzieś na podwórku. Jak ktoś miał chociaż skrawek helmu zomowca to był okrzyknięty bohaterem. Ja zacząłem brać na takie wypadki aparat fotograficzny i uwieczniać to co się tam działo. Wtedy jeszcze posiadałem cały sprzęt do wywoływania zdjęć i nie miałem problemu powielić bez obawy jakiegokolwiek ujęcia. Ciemnia mieściła się w piwnicy Sławka Muzioła na Okopowej. W tym samym budynku co UB miało swoje kazamaty my wywoływaliśmy zdjęcia z zadym. Jedna ze ścian piwnicy prawdopodobnie dzieliła nas od pomieszczeń aresztów śledczych. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że w przyszłości będę tam gościł. Za ścianą ubecja a my po drugiej stronie powielaliśmy dowody naszego uczestnictwa w antypaństwowych wystąpieniach. Kuwety pełne były wywoływanych zdjęć a z małego radyjka sączyła się muzyka z przebojami trójki. Przyjemnie i pożytecznie spędzaliśmy czas. Zdjęciami chwaliliśmy się wokoło i rozdawaliśmy znajomym za darmo. Rozniecaliśmy dyskusje i rozpalaliśmy umysły do dyskusji. Czuliśmy, że robimy coś szczególnego i znaczącego więcej niż rzucanie kamieniami w ZOMO. Mieliśmy wra-

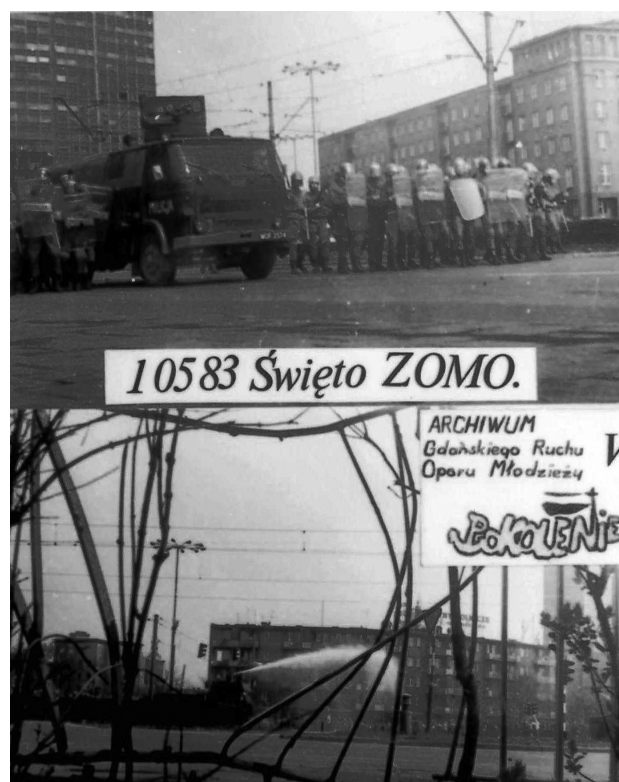
żenie, że zaczynamy uderzać w system. Szybko poczuliśmy niedosyt i poszukiwaliśmy nowych sposobów żeby jeszcze skuteczniej podważyć system. Dyskutowaliśmy w gronie przyjaciół i powoli dochodziliśmy do wniosków, że trzeba by się bardziej zorganizować. Spotykaliśmy się w małej grupie czteroosobowej na prywatkach a potem na pogawędkach. W końcu można to było nazwać swego rodzaju kółkiem dyskusyjnym. Trudno powiedzieć teraz jak powstała nazwa Gdański Ruch Oporu Młodzieży „Pokolenie”. Wyszło to jakoś w toku rozmowy. Zabrzmiało poważnie i już tak zostało. A to że skrót literowy jest GROM też jest przypadkiem i miał znaczyć tylko i wyłącznie nas jak „grom z jasnego nieba” co w komunę uderzy bez użycia militarnych środków przymusu. Nie można tego teraz w żaden sposób wiązać z elitarną jednostką specjalną.

Po paru dyskusjach programowych uzgodniliśmy zasady naszej działalności. Najważniejszym wydało się nam rozpowszechnianie oświadczeń regionalnej Solidarności. Zaczęliśmy poszukiwania sprzętu do druku. Przy tym trzeba zaznaczyć, że nie mieliśmy żadnych kontaktów ze strukturami Solidarności. To wszystko co robiliśmy było całkowicie niezależne i spontaniczne. Wyrastało obok głównego nurtu podziemia. Byliśmy zdani tylko na swoje zdolności i umiejętności nabyte w szkołach a często na kółkach zainteresowań w Domu Kultury. Stąd pochodziła wiedza drukarska i fotograficzna. Mieliśmy już doświadczenie w powielaniu zdjęć z demonstracji a ponieważ cieszyły się popularnością można było je sprzedawać i zgromadzić mały kapitał. Poukładaliśmy najciekawsze z nich w kwadraty po cztery z napisem GROM Pokolenie pośrodku i fotografowaliśmy je żeby potem złożyć około pięciu takich tabloidów w małym formacie mieszczącym się do koperty. Wyprodukowaliśmy około trzydziestu kompletów. Zapakowaliśmy to wszystko do kopert a te ostemplowaliśmy datą 3 Maja. To były najciekawsze zdjęcia z demonstracji trzecimajowej w 1982. Koperty schodziły jak ciepłe bułeczki. W szkołach i pośród znajomych sprzedawaliśmy komplety biorąc po kilka złotych za jeden. Nie minęły dwa miesiące a my już za tak zdobyte pieniądze kupiliśmy elektryczną maszynę do pisania. To była niesamowita radość. Jak by nam ktoś wspomniał prezent zrobić. Już wtedy zaczęliśmy przymierzać się do wypisywania matryc do druku. Wiedzieliśmy o specjalnych matrycach białkowych, ale to było poza zasięgiem, bo jak wspomniałem nie mieliśmy kontaktów na tyle szerokich żeby ktoś nam je dostarczył. Zaczęliśmy więc od totalnej prowizorki. Drukowanie na matrycach foliowych było opisane w jednym z biuletynów regionu na tyle dokładnie, że czuliśmy się na siłach zacząć próbować samodzielnie. Całość procedury była prosta. Wkręcało się do maszyny papier ścierny pokryty cienką kartką folii plastikowej. Czcionka uderzając w folię dociskała ją do papieru ściernego, który przebijał drobne dziurki. Potem taką matrycę zaczepiało się na ramce. Do środka kładło się szmatkę nasączoną



farbą drukarską. To urządzenie kładło się na kartce i dociskało wałkiem. Farba wyciekała przez otwory zaczerpnijąc papier pod spodem. Jakość była fatalna, ale przy odrobinie szczęścia dało się uzyskać czytelne egzemplarze. Zrobiliśmy tak kilka razy a ponieważ wydajność była fatalna przerwaliśmy tą żmudną i mało efektywną robotę. Wróciliśmy na jakiś czas do zadymiania. Trzeba było obmyślić lepszy sposób na drukowanie ulotek. Następnym z pomysłów na druk była czcionka drukarska, ale to było by dobre tylko na krótkie ulotkowe teksty. Jakies zawiadomienie w dwóch lub trzech zdaniach. Nie można byłoby tym sposobem wydać czegoś chociażby pojemności jednej strony. Do tego potrzebny byłby cały zestaw zecerski a my mieliśmy zaledwie trzy garście czcionek różnego kroju i stylu. Były to pozostałości z dawnych pieczętek lekarskich i pieczętek BART-u (Bałtyckiej Agencji Artystycznej), które gdzieś odnalazłem w moich śmieciach. Te pieczątki to była krótka, ale fajna zabawa. Od początku liceum nazwisko doktor Smolińskiej znał ze zwolnienia każdy leser, który się ze mną przyjaźnił. Zwolnienia wypisywał ktoś, kto miał wprawna rękę. Ja stuknąłem na to pieczątkę i już był wolny dzień lub dwa. Nigdy nie przesadzałem i udostępniałem to tylko dla najlepszych kumpi. Dlatego nie zaliczyłem wpadki, bo nie byłem pazerny na forszę i traktowałem to jako zabawę. Tak samo było z biletami na koncerty. Wąskie grono przyjaciół i tych, co wnieśli coś nowego do produkcji. Jak na przykład jeden ze znajomych wymyślił sposób, jak uzyskać kolor biletu, kiedy zmieniła się szata graficzna. Z biletami na koncerty rockowe był zawsze problem. Były drogie i trudnodostępne, przy tym każdy chciał pójść na koncert, więc produkcja była z natury większa niż ilość zwolnień lekarskich. Od początku szczęściem było, że były robione przez organizatora w bardzo prymitywny sposób. BART wydawała je na białym papierze z rubryczkami ostemplowanymi pieczętkami. Tak proste, że aż prosiło się o falsyfikat. Pieczątkę lekarską przerobiliśmy ze Sławkiem na kilka innych stempli potrzebnych na bilecie a rubryczki kreśliłiśmy czarnym długopisem i już była zabawa jak się patrzy. Problemy zaczęły się, kiedy BART wydała bilety na kolorowym papierze z bardziej ambitnym nadrukiem. Pokombinowaliśmy i wyjście się znalazło. Biały papier Krzysiek wymoczył w zabarwionej wodzie i tak uzyskał dobry kolor. Dokładnie taki sam jak oryginalny bilet. Rubryczki i drobny druk ktoś wypisał rapidografem (takie kreślarskie pióro o dużej dokładności kreski) a nowa pieczątką BART-u dla Sławka to była tylko mała przekładanka czcionek. Minęły dwa lub trzy dni i kilkanaście biletów było gotowych do rozdania. Czas koncertu był czasem sprawdzianu naszej produkcji. Stojąc w kolejce do wejścia na koncert widziałem jak kilku ludzi weszło na naszym produkcie bez problemu. To był czas, kiedy tłumy waliły na koncerty takich grup jak UK Subs, Lady Punk i Sal Solo. Było wesoło i czas płynął w rytmie rock'n'rola. Można by tak bez końca żeby nie to, że organizator się zorientował i zaczął komplikować szatę graficzną biletów. Na którymś z koncertów Lady Punk była wpadka. Jeden z naszych postanowił pójść na wszystkie koncerty w ciągu dwóch dni i chyba jego gęba wryła się bramkarzom w pamięć. Nie było to dziwne, bo w tych czasach niewielu małałów mogło sobie pozwolić na taki wydatek. To nie były tanie koncerty. Dodając do tego, że torturowanie się słuchając tego samego koncertu cztery razy z rzędu było czymś nad wyraz nienormalnym dla zwykłego człowieka, więc niewątpliwie zwrócił na siebie uwagę.

Przy wejściu sprawdzał bilet dresiarz z nadmuchaną kłatą, który przyjrzał się naszemu koledze a potem zaczął przyglądać się biletowi. Mruczał przy tym coś pod nosem, obracając bilet wokół, jakby nie umiał czytać. Data



i miejsce wystemplowane na bilecie zgadzały się, ale jeden numer był inny. Po chwili wnikliwego przyglądania się papierkowi skierował się do drugiego bramkarza... Hej, Zenek, popatrz na to. Czy to jest podrabiane, czy ja mam „strita” w oczach? Wskazał na drobne napisy pisane ręcznie, które powinny wyglądać jak nadruk a z powodu braku tak drobnej czcionki drukarskiej były pisane ręcznie. Zenek zaraz potwierdził, że to jest ręcznie pisane i że bilet jest sfalszowany, a nasz kolega został zagnany do jakiegoś pomieszczenia, gdzie prowadzono przesłuchania. W tym czasie my zacieraliśmy ślady, nie wiedząc czy nas sypnie, a on wykreślił się z całej afery obstając przy tym, że kupił bilet od kogoś tuż przed koncertem. Ten czas nauczył nas ostrożności i dostarczył trochę doświadczenia w działaniu na pograniczu legalności.

Jak już wspominałem, druk na plastikowych matrycach nam nie wychodził, czcionek nie było wystarczająco dużo, więc kontynuowaliśmy kolportaż i uczestniczyliśmy czynnie w demonstracjach. Maturę zdałem, ale na Polibudę się nie dostałem w tym samym roku. Dlatego, żeby uniknąć obowiązkowej służby wojskowej i poduczyć się na egzamin w następnym roku, poszedłem na rok do Nauczycielskiego Studium Technicznego przy ulicy Sobieskiego we Wrzeszczu. To odraczało mnie automatycznie od wojska i dawało spokój potrzebny przy nauce. Tam poznałem Wojtkę Jankowskiego „Jacobą” i od tego czasu zaczęła się prawdziwa jazda po bandzie. Zaczął się okres rozwoju działalności w wielu kierunkach. Wojtek dostarczył nam prawdziwych białkowych matryc. Drukarnia GROM-u w piwnicznej pralni przy ulicy Rzeźnickiej ruszyła pełną parą drukując ulotki, „Homka”, a także nasz druk. Była to całkowicie i samodzielnie wydana broszura Leszka Nowaka zatytułowana „Liczą się tylko masy”. Wydana była przez Gdański Ruch Oporu Młodzieży „Pokolenie” w skaldzie: Wojtek Mazur, Sławek Muzioł i Marek Suwiński. Prawdopodobnie jedyny egzemplarz, który mógł się zachować to ten, co zawieźliśmy kiedyś samemu Nowakowi do Poznania.

### Drukarnia

Drukowaliśmy tylko w nocy. Sławek Muzioł zainstalował magnetyczny włącznik w ramę drzwi prowadzących z

klatki schodowej do korytarza piwnicznego. Cienki przewód przyklejony był w rogu, gdzie ściana spotyka sufit i przeciągnięty do pralni, a tam mały elektroniczny obwód z żarówką i baterijką zawieszony był nad kotłem do gotowania bielizny. Kiedy drzwi się otwierały, magnes w drzwiach oddalał się od ramy i otwierał obwód, który poprzez elektroniczny układ włączał żaróweczkę, dając znać, że trzeba być cicho. Moja rodzinka była za duża jak na tamte warunki. Sześcioro ludzi w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią na drugim piętrze, czwórka dzieci i dwoje rodziców zaharowanych po uszy. W wyniku jakiegoś porozumienia między sąsiadami przejęliśmy klucz do pralni na stałe jeszcze w latach siedemdziesiątych. Początkowo rzeczywiście używaliśmy pralni do gotowania i krochmalenia, potem jednak ławeczka i sztangi zaczęły zajmować coraz więcej miejsca i moi bracia ćwiczyli kulturystykę jak mieli czas, robiąc z tego swego rodzaju siłownię blokową. Ja przejąłem to jako następne pokolenie, ale siłownia działała bardzo krótko i bardzo szybko na gruncie zmian społecznych została przekształcona w drukarnię. Rodzice uznali, że trzeba coś zrobić dla wolnej Polski i nie wtrącać się w to, co się tam dzieje, skoro wszystko wskazywało na to, że zawiązuje się młodzieżowa grupa oporu. Ktoś wścibski wcześniej wydłubał dziurkę w drewnianych drzwiach do pralni, żeby podglądać, co tam się dzieje. Ja to wykorzystałem i zostawiłem tę dziurkę a przed drzwiami, powiesiłem szmatę, która wyglądała jak suszona firana zaraz po wypraniu. Za tą zasłoną mieliśmy stanowisko drukarskie na kotle do gotowania bielizny przykrytym drewnianym wiekiem pełniącym rolę stołu. Nad tym stanowiskiem wisiała już poprzednio wspomniana żaróweczka ostrzegająca o otwarciu drzwi do piwnicy. Rozmowy i dyskusje zabijały przeciągający się czas powodowany jednostajnymi i powtarzalnymi czynnościami. Na początku były przygotowania i próby. Kiedy tylko spod ramki zaczęły wychodzić czytelne kartki czekało nas drukowanie około tysiąca egzemplarzy wykonując taśmową robotę nudną jak flaki z olejem. Najczęściej do druku stawało trzech ludzi. Jeden kładł kartkę pod ramką i zamykał ramkę. Drugi drukarz наносił farbę wałkiem zwracając uwagę czy wałek jest w porządku i farby nie brakuje. Trzeci odbierał i układał w stertę zadrukowane kartki. Wszystko, co wiązało się z nakładaniem farby i dbaniem o zabrudzone farbą części, należało właśnie do mnie. Ponieważ lokum było moje i mogłem po drukowaniu doprowadzić się do porządku, byłem zawsze w to zaangażowany i najbardziej brudny. Ten, co odbierał kartki zadrukowane i ten, co podawał czyste kartki do druku na koniec musieli przebyć drogę do swoich domów nie wzbudzając podejrzeń. Zabrudzenia farbą i jej zapach trzeba było usunąć. Jak już wspomniałem, drukowanie było najnudniejszym zajęciem, jakie mogłem sobie wtedy wyobrazić. Ale byli ludzie, co potrafili zamienić ten czas w niezłą zabawę. Wojtek Jankowski i Marek Suwiński mieli swoiste poczucie humoru. We dwóch tworzyli niezły kabaret. Jakość wydruków trzeba było skontrolować. Ktoś czytał tekst a reszta komentowała jego treść i formę. Czas mijał wtedy szybko i druk miał dobrą jakość. Wojtek zawsze trzymał dystans do swojej roboty i potrafił rozśmieszyć do łez. Trudno było potem o równie zabawny zestaw drukarzy.

### Akcja bezpośrednia

Szkoła przy ulicy Sobieskiego została wybrana przez władze miejskie na miejsce spotkania z członkami rady miejskiej. W czasie komuny radni byli uznani za przedstawicieli władzy komunistycznej na lokalnym poziomie. Całe to spotkanie miało być jakąś propagandową farsą, które odbywały się nierzadko w tym czasie. Głównym



przekazem miało być, że wszystko się normalizuje i władza ludowa rozwiąże wszystkie nasze problemy, jak tylko ją zaakceptujemy a potem poprosimy. Myśmy postanowili troszeczkę zepsuć ten obrazek „galopującej normalizacji”, nie dopuszczając do spotkania.

Zaplanowaliśmy wszystko dokładnie. Zналиśmy porządek dnia w szkole oraz kto i gdzie miał pilnować. Każde z wejść do szkoły obstawione było przez dyżurnego i tak się złożyło, że jeden z nich był kolegą z naszej klasy i obstawiał te wejście, które było bardzo istotne dla powodzenia akcji. Tędy miał wejść Sławek z Markiem. Sławek miał zostać przy drzwiach a Marek wykonać akcję w środku budynku. Siedzieliśmy w klasie z Wojtkiem Jankowskim i spoglądaliśmy na siebie od czasu do czasu, wsłuchując się w to, co działo się na korytarzu. Wszyscy uczniowie rozmawiali w grupach siedząc w ławkach. Usłyszeliśmy dzwonek kończący przerwę i wkrótce po tym jakąś krzątanicę uczniów na korytarzu. Ktoś otworzył drzwi do klasy i kaszląc oznajmił nam, że w szkole jest pożar. Nikt nie panikował, ale każdy chciał zobaczyć, co się dzieje. Prawie wszyscy rzucili się do drzwi żeby przekonać się na własne oczy i tylko my dwaj nie byliśmy ciekawi. Wyszliśmy ostatni z klasy, wypatrując dymu i zaraz dało się odczuć ten niesamowity zapach. Ten zapach tak nierozwrotnie związany z demonstracjami, że zaraz pompuje adrenalinę w żyły. Oczy zaczęły łzawić, aż trudno je było otworzyć. Potem już tylko po omacku uchylając lekko żrenice aby upewnić się czy droga jaką podążałem jest prawidłowa. Marek rzucił gaz łzawiący w głównym hallu. To było centralne miejsce, z którego dym rozszedł się po wszystkich korytarzach. Ogarnął swoim zasięgiem całą szkołę i wdarł się do klas, które były otwarte. Wszyscy zaczęli opuszczać klasy i budynek szkolny. Wypędzeni na boisko szkolne przecieraliśmy zażawione oczy i komentowaliśmy, co właśnie się wydarzyło na przeróżny sposób. Najczęściej było to zadowolenie, że propagandowa impreza odbywać się będzie w atmosferze zbliżonej do „ulicznych konsultacji”. Bałagan był niesamowity i nikt nie wiedział, co będzie dalej, kiedy ku zadowoleniu ogółu grono nauczycieli ogłosiło koniec zajęć. Najwyraźniej w żaden sposób nie dało się wejść z powrotem do szkoły i wietrzenie musiało się przeciągnąć w czasie. Potem okazało się, że spotkanie z radnymi nigdy się później w tej szkole nie odbyło. To był dla nas całkowity sukces. Od tego czasu młodzież szkolna z innych formacji rozpisywała się o tym zajściu i idąc za naszym przykładem odpalano gazy łzawiące a nawet petardy tu i tam w łazienkach szkolnych i pokojach nauczycielskich.

### Pierwszy Maja

Kontakty nasze wciąż się poszerzały. Stykaliśmy się z ludźmi tworzącymi różne środowiska i grupy oporu. Jedni poważnie podchodzili do działalności, inni tylko od „święta”, czyli kiedy szykowało się zadyma. Porozumienie Grup Niezależnych „Wolność” miało być tą formacją,

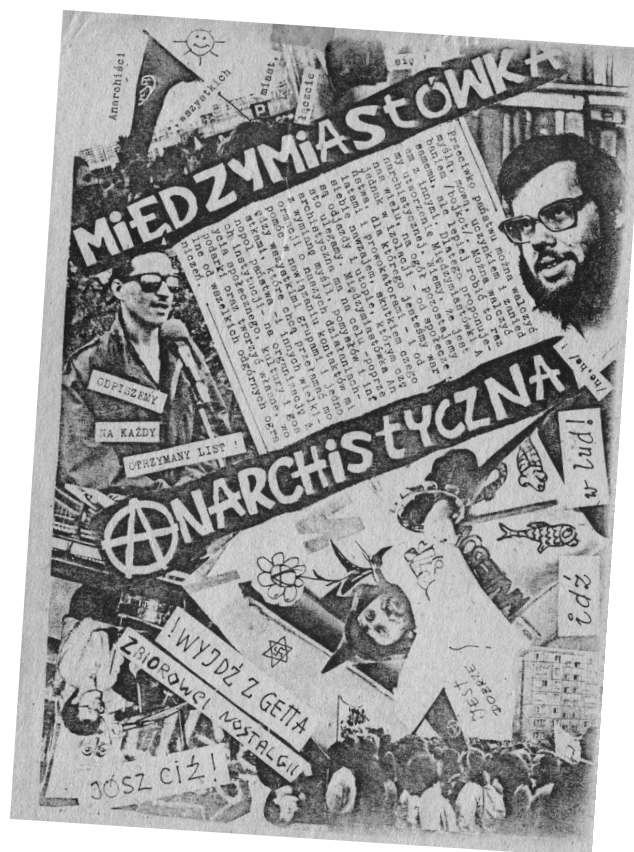
co skierowałyby ten żywioł w sposób zorganizowany w miejsce, które opuściła Solidarność podziemna. Mieliśmy jasno określony cel i energię potrzebną do działania. Gdański Region i Wałęsa torpedowali wszystkie inicjatywy oddolne, zbywając jednym zdaniem – nie dajmy się sprowokować. Bez żadnej polemiki i argumentacji. Tymczasem ludzie odbierali tę sytuację bez ruchu, że Solidarność się zwija, jeśli nic się nie dzieje. Wybraliśmy pierwszego maja na zorganizowanie własnej manifestacji w tym czasie żeby Region nie mógł potajemnie nie robiąc nic podpiąć się jako organizator. Jednocześnie chcieliśmy zepsuć komunie majówkę tak jak Solidarność Walcząca zrobiła we Wrocławiu rok wcześniej. Zamierzaliśmy dużą grupą wmieszać się w pochód oficjalny i przemaszerować z transparentami przed trybuną z komunistycznymi oficjalami. Oczywiście mieliśmy świadomość trudności takiej akcji, bo na pewno będziemy rozbijani po drodze przez ZOMO. A jednak się nie cofnęliśmy. Bo jeśli we Wrocławiu się udało, to dlaczego nie tutaj. Wojtek Jankowski zajął się skonsolidowaniem RSA i FMW, ja miałem za zadanie wprowadzenia w temat luźnych grup blokowych zadymiarzy i GROM Pokolenie. Rozrzuciliśmy wezwania do niezależnych obchodów pierwszego maja.

Dzień majówki był jak zwykle piękny. Słoneczko świeciło na bezchmurnym niebie i było jak zawsze odkąd pamiętam to święto bardzo „pierwszomajowo”. Ustalono było, żeby dla kamuflażu ubrać się tak, żeby się nie wyróżniać w tłumie. Pod kurteczkami mieliśmy ulotki i transparenty, a w rekach czerwone flagi na drewnianych kijach. Zbiegaliśmy się na Placu Zebrań Ludowych. Wszędzie roilo się od ubeków i wyczuwało się ich rozkojarzenie. My wyglądaliśmy na wzorowych uczestników oficjalnej imprezy i doskonale mieszałyśmy się w tłumie podobnych do nas. Widać było podirytowanie wśród nich, bo zgarniali do nysiek milicyjnych wszystkich pijaczków i niezbyt schludnie ubranych ludzi. Tymczasem na placu robiło się tłoczno. Czekaliśmy na znak, kiedy to jak ktoś rzuci ulotki w górę. Kiedy to już nastąpiło zrobiło się zamieszanie i z tego bałaganu wyłoniła się mała grupa ludzi, która maszerowała Traktem Konnym. Pośpiesznie zrywaliśmy czerwone flagi z kijów i nakładaliśmy nasze transparenty, dołączając do tejże grupy. Ja niosłem swego rodzaju transparent-malowidło pędzla Marka Suwińskiego. Wymalował olejem na białym płótnie ręce uniesione w górę, które zrywają kajdany, a nad nimi napis głosił – Chcemy Wolnej Polski. Za każdym z osobników niosących flagę lub transparent szedł znajomy jako obstaw, tak jak było ustalone. Po około stu metrach marszu skierowaliśmy się w stronę oficjalnego pochodu. Trafiliśmy całkiem przypadkowo pomiędzy kombatantów walk o utrwalenie władzy ludowej a dzieci ze szkoły podstawowej. Nasza grupa urosła w tym czasie do okazałych rozmiarów. Można by to ująć w ten sposób, że było nas tylu, że kombatanci nie próbowali nawet protestować i grzecznie się usunęli, żeby naszemu pochodowi zrobić miejsce w szeregu. Określiłbym naszą grupę na około pięćset do tysiąca osób. Wznosiliśmy różne nieprzewidziane w programie oficjalnym okrzyki i większość z nich była antysystemowa. Tak poruszaliśmy się z pochodem przez kilkanaście minut. Zdażyliśmy nawet odśpiewać „Mury” Kaczmareckiego, kiedy było już jasne, że zbliżamy się w stronę trybuny, zaatakowało nas ZOMO. Wpadli na nas i walili na oslepa. Zdażyłem uciec i w trakcie dowiedziałem się, że przez pomyłkę tępaki z ZOMO pobili kombatantów. Połowa pochodu się rozbiegła, że ich pozbić nie mogli. Bałagan był taki, że oficjalny pochód długo nie kontynuował, a liczebność im spadła drastycznie, bo wielu uznało to za dobry pretekst, żeby zrezygnować z dalszego udziału. Część z naszych ludzi, rozbita na małe grupki bez transparentów, przemaszerowała przed

trybuną wznosząc okrzyki – precz z komuną! ZOMO musiało kilkakrotnie jeszcze interweniować aż ktoś ważny uznał, że trzeba rozwiązać oficjalny pochód ze względów na bezpieczeństwo. W tym czasie we Wrzeszczu „na dołku” zbierał się tłum tych, co zostali za pierwszym razem przegnani z pochodu i przygodnych gapiów. Do tego kibice Lechii Gdańsk wyszli w tym samym miejscu po meczu. No i wtedy zaczęło się dymienie na całego. Kostka brukowa poleciała na milicyjne suki a ławki i śmietniki z pobliskich podwórek zatarasowały Grunwaldzką. Rozruchy trwały aż do godziny trzeciej nad ranem następnego dnia. Nazwano to największą manifestacją od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

### Międzymiastówka Anarchistyczna

Wkrótce po zadymie pierwszomajowej Sławek Muzioł, Marek Suwiński i reszta porzuciła się po przysłowiowych kątach i GROM się rozpadł, a ja wstąpiłem do Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego. Zwolennicy i uczestnicy RSA pojawiali się miastach i miasteczkach z dużą częstotliwością a przy tym niesamowitą robotą wykonywał Zbyszek Stybel, konsolidując ich i zaopatrując regularnie w bibułę. Poza tym wiele się zmieniało wokół. Komunizm się spała na oczach ogółu, dawni przywódcy [opozycji] okazali się żądnymi władzy i rozgłosu cwaniaczkami, a młodzież patrzyła na to zagubiona. Wykorzeni przez lata propagandy komunistycznej, ogłupieni przez tych, co sprzedali Solidarność za stołki w rządzie i sejmie, młodzież zdolna do działania porzuciła „Solidarność” i budowała własne środowiska. Co jakiś czas przychodziła do nas wiadomość o nowej grupie w jakimś mieście w Polsce, gdzie próbowano nas naśladować. Niektórzy szukali kontaktu z nami. Ja z Januszem Waluszko i jego bratem Czarkiem w tym czasie organizowaliśmy grupy dyskusyjne, tak zwane „duszpasterstwo anarchistyczne” jako analogia do „duszpasterstwa akademickiego”. Spotkania mieliśmy regularnie na plebani kościoła świętej Brygidy u księdza Jankowskiego. Większość tematów dyskusji oscylowała wokół spuścizny Solidarności jako ruchu demokratycznego, jednocześnie podważaliśmy jednoosobowe przywództwo Wałęsy jako nieprawne i szkodliwe dla wszystkich i wszystkiego. Staraliśmy się tłumaczyć na





czym powinno polegać samoorganizujące się społeczeństwo obywatelskie. Nasz język i argumentacja były proste i czerpane z tradycji Sierpnia i doświadczeń tego okresu. Nie byliśmy przez to obcy dla ludzi, z którymi przyszło nam się spierać i często trafialiśmy do przekonania z naszymi poglądami. Argumentów w dyskusjach dostarczali nam swoim działaniem Region Solidarności w Gdańsku i sam Wałęsa. Ówczesne elity i agentura zrećnie posługiwały się symbolami i wykreowanymi idolami. Przy ich pomocy i pod ich ochroną przygotowywali tą całą transformację przejmując majątek narodowy i niszcząc nasz przemysł. Nasza krytyka na łamach „Homka” na pewno rozżłościła nie jednego zwolennika Wałęsy, ale na placu przed plebanią i na plebanii nie doświadczyliśmy zdecydowanego sprzeciwu. Jeśli próbowano pozbyć się nas, to raczej po cichu. Na donosy, że jesteśmy wrogimi anarchistami ksiądz Jankowski odpowiadał – tak, tak, nie widzę ostatnio braci Waluszków na sumie w niedzielę, ale to dobrzy parafianie i dobrze, że choć przychodzą tutaj... Próby wszelkie na tym legły, bo poza tym byliśmy znani wszystkim zadymiarzom związanym z parafią. Stali bywalcy znali nas, bo widzieli na każdej ważniejszej demonstracji. Spod kościoła św. Brygidy nierzadko zaczynaliśmy demonstracje, maszerując na czele pochodów z naszymi czarnymi sztandarami. Niosąc transparent byłem wśród „moherów” i kiboli z Lechii i czułem się tam bezpiecznie. Zawsze była ta pewność, że jak zabraknie obstawy i jakiś tajniak będzie próbował mnie złapać, to spoza mnie wyleci zbawienna piącha kibola i wyląduje na ubeckiej gębie, a babcia moherowa dzieli go torebką przez łeb. Na tych ludzi można było zawsze liczyć. Kiedy rzuciliśmy ulotki wzywające na dym to oni zawsze stawili się na wezwanie a potem byli z nami aż do końca. Na „mohera” i „kibola” zawsze mogłem liczyć. Czy możecie sobie to wszystko teraz wyobrazić, że anarchiści zaczynali swoje zadymy spod kościoła i prowadzili kółko dyskusyjne na plebanii? Takie to wtedy były czasy. Jednoczyła nas wszystkich działaczy walka o niepodległość. To uniwersalne spoiwo pozwalało się zrozumieć, patrząc tylko na przysłowiowe owoce naszych działań. Tam była komuna z psami a my tutaj razem walczący o swoją godność i zaprzepaszoną szansę Porozumień Sierpniowych. Jak będzie potem, kiedy Polska będzie wolna, było drugoplanowe, przynajmniej dla większości z nas.

Krytyka elit nasilała się w różnych środowiskach i kluby dyskusyjne zataczały coraz szersze koło w Gdańsku i innych miastach przyciągając różnych ludzi. Potrzebna była jakaś scalająca formuła dla tych wszystkich rozproszonych grup i indywidualności, którzy widzieli nas wyzwolony spod czerwonej zarazy kraj jako Rzeczpospolitą Samorządną gdzie parafrazując jedno z naszych hasła, ulice należały by do zakochanych a zakłady do robotników. Teraz trzeba było ratować, co się da, przed oszustami z podziemia i ich współtowarzyszami z PZPR. Czuliśmy, że społeczeństwo jest ograbiane i trzeba temu przeciwdziałać w ramach naszego ruchu i naszych poglądów. Manifest Międzymiastówki Anarchistycznej zaczyna się od sformułowań o przyjaźni i spotkań indywidualności. Skondensowaliśmy to wszystko, co nas łączyło i identyfikowało przez te czasy od nastania stanu wojennego. Indywidualności i połączone przyjaźnią grupy ludzi zawsze zmieniały świat. Dzięki takim ludziom możliwe były te wszystkie nasze Polskie zrywy niepodległościowe i rewolucje. Niepodległość i wolność były celem, ale przynależność rodzinna i grupowa, a co za tym idzie wszelkie spoiwa emocjonalne, duchowe i intelektualne były podstawą do działania i oporu. Opór przeciwko komunie i innym totalitaryzmom kształtował się w gronie rodziny i kolegów. Manifest nie jest wypchany wygórowanymi i wy-

imaginowanymi sformułowaniami. Tam są określenia, co pozwalają żyć i czynią to życie wartościowym. My Polacy nauczyliśmy się, jak walczyć i ginąć za sprawę, ale trzeba by też nauczyć się, jak żyć wolnym i skutecznie utrzymać tę wolność. Kapitalizm niósł ze sobą podobną atomizację społeczeństwa jak komunizm, gdzie jednostka bojąc się o utratę pracy i mając wiele do stracenia zdolna była się usunąć w stan bezruchu pozwalając rządzącym na daleko posunięte zniewolenie. Dodając do tego konsumpcjonizm i umiłowanie posiadania nade wszystko, kapitalizm powoduje, że odosobniona i pozbawiona spoiwa z innymi ludźmi jednostka nie wybije się na wolność i samodzielne myślenie.

Dom moich rodziców w Gdańsku-Zaborni świetnie nadawał się na spotkanie większej ilości ludzi. Dużo pomieszczeń, gdzie mogło się przespać pokotem wielu ludzi i duże pomieszczenie na dyskusję czyniło ten dom dobrym do zorganizowania pierwszego zjazdu Międzymiastówki Anarchistycznej. W świeżo dobudowanej części było wielkie pomieszczenie z surowymi ścianami. Okna zabite dechami uszczelniliśmy folią. W jednym końcu był stół z jedzeniem a wokół ścian poustawiane ławeczki zrobione z surowych desek położonych na ceglach. Około czterdziestu litrów ciepłego wegetariańskiego bigosu przygotowanego dla uczestników. Schodzili się od rana regularnie, tak jak autobusy dowoziły z dworca głównego, a tylko nieliczni zrobili sobie kilkukilometrowy spacer. Około południa było już ponad siedemdziesiąt osób i zaczęliśmy dyskusję. Zaczęło się od przedstawienia planu spotkań i propozycji tematów dyskusji, potem każdy z osobna się przedstawił, wymieniając skąd przyjechał i jaka tematyka go interesuje. W tym czasie osoba wydelegowana sporządzała notatki do dyskusji z ewentualnych propozycji uczestników. Pierwsze dwie godziny dyskusja skupiła się nad tym, co robić żeby wyedukować i zorganizować ludzi przeciwko przejmowaniu przez komunistyczną nomenklaturę i solidarnościowych pomocników przemysłu krajowego. Po jakimś czasie ktoś zauważył na zewnątrz nadjeżdżające gaziki i polewaczkę milicyjną. Odziały specjalne okrążyły dom i wezwano uczestników do przygotowania dokumentów do kontroli. Kiedy zorientowali się, że nie będzie żadnego oporu z naszej strony, do domu wszedł jakiś wysoki rangą ubek w płaszczu skórzanym (jak gestapowiec) w towarzystwie pani prokurator w wielkim kapeluszu. Ja zostałem zabrany jako pierwszy do fiata i przewieziony do aresztu. Wrzucili mnie do celi ze złodziejami. Po paru przesłuchaniach i prawie dwóch dniach aresztu wypuścili mnie, kierując sprawę do kolegium z oskarżeniem za organizowanie nielegalnych zgromadzeń i skazując na karę 50 000 złotych.

Teraz patrząc na to wszystko, co się wydarzyło, nie mam wątpliwości, że się dobrze bawiłem. Nie mam żalu osobistego do komuny, bo mi tyłka nie skopała w żadnym tego słowa znaczeniu. Ja natomiast mam satysfakcję, że jej tyłek skopałem w wielu tego słowa znaczeniach. Wiedziałem wtedy, kiedy organizowałem demonstracje przeciwko okrągłemu stołowi pod hasłem „Targowica”, że mam całkowitą rację, ale dzisiaj wolałbym się mylić. Dzisiaj trzeba to wszystko zacząć od nowa, a tymczasem ja tu za oceanem oddzielony od przyjaciół i rodziny, chociaż niehołdujący posiadaniu i konsumpcjonizmowi, to jednak zaharowany, żeby zapewnić godny byt rodzinie i bez szans na wyrwanie się z tego do Polski. Może moje chłopaki na swój sposób dopiszą kiedyś ciąg dalszy?

PS. Mój pseudonim Hrun (z ukraińskiego błyskawica) dobrany został przez Wojtkę Jankowskiego, który skojarzył moje miejsce urodzenia w Jaśle z moim charakterem. Jak on to wykombinował nie wiem, ale żem choleryk to racja.

## WSPOMINA...

Po maturze, chciałam dalej kontynuować naukę, ale też robić coś, w ramach sprzeciwu przeciwko komunie. Wybrałam więc Gdańsk jako miejsce gdzie były aktywne środowiska opozycyjne. Pierwsze środowisko, z którym się spotkałam to gdańscy hippisi. Poznałam tam Wodza i Wergilę, czyli Beatę z Gdyni, od której dostałam do czytania dużo różnej bibuły, między innymi „Homka”. Później, też dzięki niej, poznałam Jacoba i kilka innych osób z RSA. Włączyłam się do ich działalności. Nie było specjalnego podziału zadań, wszyscy robili wszystko, więc i ja drukowałam oraz roznosiłam „Homka”. W tym czasie wynajmowałam pokój w mieszkaniu niewidomej pani Wandy Sochoń. Wedle umowy z panią Wandą nie mogli mnie odwiedzać mężczyźni, więc przychodzący koledzy mówiąc „dzień dobry” udawali moje koleżanki. Za to można tam było spokojnie drukować. Pani Wanda tylko się bardzo dziwiła dlaczego moja maszyna do pisania jest taka głośna, a my pisaliśmy teksty na matrycach białkowych bez taśmy. Jednym z najważniejszych zagadnień dyskutowanych na spotkaniach i przedstawianą w „Homku” była kwestia obowiązkowej służby wojskowej, a właściwie sposobów jej uniknięcia (jak można uzyskać kategorię E, kto się ukrywa przed przyjęciem karty powołania i kto odmawia odbycia służby wojskowej).

W 1985 roku Jacob zadeklarował, że jeśli tylko otrzyma kartę powołania do wojska to odmówi odbycia służby. Był zdecydowany nawet pójść do więzienia. Dotarła też do nas informacja o Marku Adamkiewiczu, który odmówił złożenia przysięgi wojskowej ze względu na poglądy polityczne i z tego powodu został skazany. Wkrótce też dowiedzieliśmy się o powstaniu Ruchu „Wolność i Pokój”, który założono, aby nagłaśniać sprawę Marka i innych objectorów oraz podjąć działania na rzecz zniesienia obowiązkowej służby wojskowej i zmiany rot przysięgi.

Gdy Jacob został aresztowany w listopadzie 1985 roku, pojechałam do Warszawy, aby przekazać informację o tym Jackowi Czaputowiczowi. Wtedy poznałam Jareme Dubieła i dowiedziałam się więcej o jawnej formie działania i zasadach non-violence WiP-u. Podjęłam decyzję o przystąpieniu do nich i od razu podpisałam deklarację. Wracając pociągiem byłam przekonana, że podając swoje dane ujawniam się ubecji, która od razu będzie chciała mnie aresztować.

Gdy poinformowałam Hrynia i Janego Waluszko o podpisaniu deklaracji wipowskiej to stwierdzili, że nie powinienam się już z nimi kontaktować, bo na pewno jestem namierzona przez SB. W związku z tym nie kontaktowałam się już z Hryniem, bo on zajmował się drukiem „Homka”.



Jednymi z pierwszych osób w środowisku trójmiejskim, które także podpisały deklarację wipowską był też Krzysztof Galiński i Andrzej Misk.

Zbieraliśmy informacje np. kto odesłał książeczkę wojskową, kto się ukrywa przed przyjęciem karty powołania, a także o przypadkach łamania praw człowieka w wojsku. Staraliśmy się je potwierdzić, kontaktując się z daną osobą. Uzyskiwaliśmy też zgodę na podanie danych w mediach i prasie drugiego obiegu. Co dwa tygodnie jeździłam z zebranymi informacjami do Warszawy. Dzięki Jackowi Kuroniowi informacje o objectorach od razu pojawiały się w Wolnej Europie i serwisach Tygodnika Mazowsze. Jego sympatia dla WiP-u i poparcie dla postaw objectorów spowodowała, że środowiska opozycyjne nadały status więźniów politycznych osobom odmawiającym służby wojskowej.

W marcu 1986 roku brałam udział w głodówce kobiet związanych z WiP-em, będącej protestem przeciwko aresztowaniu Jacka Czaputowicza i Piotra Niemczyka, a także w sprawie osób, które siedziały za odmowę służby wojskowej oraz za odesłanie książeczek wojskowych. Uczestniczyłam też w różnych akcjach wipowskich np. w trakcie spotkania w dniu urodzin lub śmieci Ottona Schimka, radzie funduszu, rocznicy pogromu kieleckiego, „daszingu” czyli akcji nad Delikatessami w Gdyni. W związku z tymi akcjami byłam zatrzymywana i karana grzywnami przez kolegów ds. wykroczeń.

W tym czasie zamieszkałam we Wrzeszczu na ulicy Grażyny, a mój adres był podawany jako miejsce, gdzie można uzyskać informacje związane z wojskiem. Mieszkanie to należało do p. Marii Koszarskiej, która pracowała w zakładach graficznych i była ściśle związana ze środowiskiem solidarnościowym.

Po 1989 roku byłam jedną z inicjatorek rejestracji Stowarzyszenia Amnesty International w Polsce i przez kilkanaście lat pełniłam różne funkcje w zarządzie AI. Jestem kustoszem w Bibliotece Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

I ku zaskoczeniu moich koleżanek nie prowadzę działalności politycznej, a tylko społeczną i towarzyską ☺.

Jacob (Wojciech Jankowski)

## RSA - NIEZNANA HISTORIA BOMBOWA

Chyba rok 1984, zbliżały się tzw. wybory, w których jedynymi kandydatami były śliskie komusze cwaniaczki. Z Pysiem i Hryniem chodziliśmy do takiego pomaturalnego Pedagogicznego Studium Technicznego. Roztaczała się przed nami sielska wizja dożywotniej pracy w charakterze nauczycieli pracy-techniki lub toczenia, frezowania i szlifowania metali. A Dyro owej szkoły - mundurowej - nas nie cierpiał, mnie chyba szczególnie, za włosy, krnąbrność i kolorową marynarkę. I obwieścił Dyro, że kto udziału w spotkaniu przedwyborczym nie weźmie - zostanie ze szkoły wywalony...

Qrwa, woleliśmy zdechnąć, niżli poniżać się przymusowym „spotkaniem” ze śliskimi czerwonymi futami. Co tu robić? Hrynio miał zomowską (policyjną) petardę łzawiącą, zdobytą na jakiejś zadymie. Miał też odważnego kumpla, którego - poinstruowany i zaopatrzonego w plan szkoły - obiecał rzeczoną petardę odpalić na korytarzu naszej „budy”.

Godzina „W” była dobrze zaplanowana. Cała nasza podejrzana, anarcholska trójka siedziała grzecznie na lekcji „nauki o społeczeństwie” z największym belferskim komuchem. Niepodważalne alibi. Boć przecie wszyscy, łącznie z Dyrem wiedzieli, kto rozrzuca w szkole ulotki i kolportuje nielegalne książki i bibułę. Pośród odbiorców było i kilkoro nauczycieli...

Wracając do akcji. Siedzieliśmy na nudnej i głupiej lekcji -

a tu co do sekundy - BUM! Na korytarzach gaz łzawiący i ewakuacja całej szkoły, ponad tysiąca ludzi. Fajna Pani od języka rosyjskiego tak się śmiała, że makijaż spłynął jej aż na brodę. - Z czego się pani śmieje?! - ryczał rozsierdzony Dyro. Wylądowaliśmy wielkim tłumem na szkolnym boisku. Przyjechał pojazd z kandydatami na jedynych wybrańców narodu. Dyro wybiegł im naprzeciw: - „spotkanie nie może się odbyć, bo jakieś SPZ-ty (młodzież specjalnej troski) podpaliły wycieraczkę!” Co ciekawe - przyjęto to wyjaśnienie, nikt nie zawiadomił bezpieki. A Dyro po tej przygodzie stał się sympatyczniejszy i przestał się czepiać nas - pocziwych anarchistów... Po zomowskiej petardzie ostał się jeno spory placek wypalonego parkietu...

PS. Wspominek ten wyartykułowałem nakłaniany przez Skibę i Jasia, by napisać cosik „historycznego”. Me obecne pasje i teksty związane z życiem-śmiercią i tzw. budyzmem zen - dawnych Towarzyszy z RSA nie kręca ☺. Zatem - macie za swoje. Bum!

Wsiewo horoszewo Wsiem.

Aha. Grunt - to nikomu nie szkodzić. A palenie trawy i piwo w parku - powinny być najnormalniej legalne. Siedzi w więzieniach mnóstwo niewinnych ludzi, więcej, niż w stanie wojennym. Gliny robią z małolatami, co chcą. I gdybym był młodszy - strasznie bym zadymiał. A tak - jeno się wypowiadam. Howgh.

Zbigniew Stybel

## OD SIERPNIA DO SIERPNIA PRZYCZYNEK DO HISTORII RSA

### Zanim nastąpiła wiosna

W pierwszych dniach stanu wojennego ochoczo jeździłem do Gdańska, gdzie toczyły się walki uliczne... z reżimem komunistycznym. Na gdańskich ulicach rozchodziło się wołanie niczym modlitwa: ZIMA WASZA, WIOSNA NASZA. 17 grudnia koło dworca PKP a naprzeciwko hotelu Monopol (obecnie już nie istnieje) ktoś wbił w ziemię górniczy oskard-kilof, pod którym zapalono znicze - to było na cześć zamordowanych górników z kopalni Wujek. Z kolegami z klasy drukowaliśmy ulotki. Używaliśmy w tym celu drukarenki dziecięcej. Wydajność była niewielka. Wzywaliśmy do solidarności ze strajkującymi. Gdy strajki spacyfikowano a na ulicach nastąpiła grobowa cisza okazało się, że nie wszystkich reżim internował. U mnie w domu ukrywali się bracia Kamińscy z RMP. Na początku 1982 roku Wiesiek Kamiński uczył mnie drukować. Długo to nie trwało. Dowiedziałem się, że nie będziemy już robić konspiracji. 3 maja 82 brałem udział w manifestacji. A kilka dni później na szkolnym apelu oprócz mnie dyrektor wywołał Wieska Gajkowskiego (aresztowany 3 maja) wskazując nas jako czarne owce. Jednak zamiast zostać szkolną czarną owcą poznałem ludzi. Tak się zaczęła moja znajomość z Wojtkiem Jankowskim, Cezarym Waluszko, Krzyśkiem Skibą i Januszem Waluszko. Tak zrodził się Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, pismo HOMEK, ulotki, kluby dyskusyjne a potem manifestacje. Nie wszystkim to się podobało. Potem do nas dołączył m.in. Wojtek Mazur, Krzysiek Galiński i Gośka Gorczevska. W 1985 roku nasze drogi się rozeszły. Każdy gdzieś, coś knuł.

### Czy wiosna stała się wiosną? Rok 1988

W kwietniu 1988 roku umówiłem się z Wojtkiem Mazurem, Cezarym i Januszem Waluszko, że na pierwszego maja spotkamy się pod kościołem św. Brygidy w Gdańsku. Była to pierwsza niedziela maja. Po mszy głos zabrał Lech Wałęsa, który mówił by nie dać się sprowokować a przede wszystkim, że należy zachować rozwagę. Nie pamiętam, który z nas pierwszy zainicjował, ale zaczęliśmy wznosić okrzyki: JUTRO STRAJK, JUTRO STRAJK... A po chwili zebrani pod kościołem zaczęli krzyczyć: JUTRO STRAJK, JUTRO STRAJK. Po jakimś czasie ludzie rozeszli się do domów. Pomyślałem wtedy, że żadnego strajku nie będzie.

Od marca 1988 roku odpracowywałem wojsko w gdyńskim szpitalu. Kilka dni po wspomnianej wyżej 1-o majowej mszy dowiedziałem się, ku memu zdziwieniu, że w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk. Jeszcze tego samego dnia pojechałem pod stocznnię. Pod krzyżami spotkałem Krzyśka Galińskiego, który powiedział, że w Brygidzie organizuje się Grupa Pomocy Strajkującym. Kiedy tam się znalazłem, spotkałem Gośkę Gorczevską (była prawą ręką pani Janiny Wehrstein). Był tam też już Adam Jankowski, brat Wojtka, który był na terenie Stoczni Gdańskiej. Zarówno pod stocznnię jak i w Brygidzie doświadczyłem takiej samej atmosfery, jak miała miejsce osiem lat wcześniej. Bez najmniejszej wątpliwości przyłączyłem się, a tym samym porzuciłem pracę.

Z perspektywy lat trudno wskazywać całe ciągi zdarzeń, gdyż czas pozacierał szczegóły. Nie mniej w pamięci utkwiło mi, że w maju na czele strajkujących robotników w Gdańskiej Stoczni był Jan Stanecki. Po strajkach majo-



wych wyrzucono go ze stoczni. W czasie strajków sierpniowych przewodził strajkującym w Stoczni Wisła, z której (przez kurierów) przesyłał dramatyczne apele o pomoc. Później zainicjował tzw. forum organizacyjne „OPOZYCJA 88”, która współpracowała z Solidarnością Walczącą, WiP, RSA, RSZ, Solidarność Dym, FMW. Zazwyczaj były to wspólne wiece na ul. Długiej przeciwko Żarnowcowi, Okrągłemu Stołowi, jednym słowem PRZECIWKO KOMUNIE, ale to już inny czas. Niedawno dowiedziałem się, że Janek Stanecki wyjechał na emigrację zarobkową.

Zarówno w maju jak i w sierpniu 1988 strajkującym pomagali ludzie z WiP-u, FMW, RSZ, RSA, ale przede wszystkim wiele osób indywidualnie, spontanicznie. Na terenie Stoczni Gdańskiej byli m.in. z WiP-u Wojtek Janowski (Jacob), Jarek Cieszyński, którzy pomagali organizować druk, radio strajkowe. Był też Darek Krawczyk z FMW. Na terenie kościoła św. Brygidy był Tomek Stoppa i Anna Jędrzejewska z RSZ. Wielu nawet twarzy już się nie pamięta.

Do kościoła św. Brygidy przychodziły masy młodych ludzi, którzy chcieli pomóc. W miarę upływu czasu wyspecjalizowali się kurierzy w przechodzeniu do stoczni. Kurierzy, to głównie młodzi chłopcy po 10-15 lat, ale były też i dziewczęta. Tak poznałem braci Pogorzelskich (Mariusz i Sylwek). Ci, co strajkowali, jak i ci, co im pomagali, to głównie ludzie młodzi. Byli to robotnicy, studenci i uczniowie. Każdy kto chciał pomóc, znalazł dla siebie miejsce. Z dnia na dzień człowiek stawał się drukarzem, kurierem, magazynierem, plastykiem, kucharzem, księgowym, projektantem, krawcem, redaktorem czy dziennikarzem radiowym etc., etc. W kościele św. Brygidy przez całą dobę była praca, przy której zasypiano ze zmęczenia. Spano pod stołem, na stole, gdzie się dało. Bohaterami byli kurierzy, którzy mimo ogromnego zmęczenia pobierali „ładunek” i sobie znanymi ścieżkami kursowali między kościołem św. Brygidy a strajkującymi, mimo, że zakłady pracy były izolowane przez milicyjne kordony.

Pomoc dla strajkujących byłaby niemożliwa, gdyby nie ofiarność mieszkańców miasta i wsi. Piekarze dostarczali pieczywo, rolnicy warzywa i mięso. Ludzie indywidualnie przynosili papierosy, pieniądze, jedzenie, papier, matryce białkowe. Przynoszono dosłownie wszystko, nawet dobre słowo. To trzeba było posegregować i racjonalnie dystrybuować. Kościół św. Brygidy był zwornikiem, gdzie skupiały się wszelkiego rodzaju kontakty i pomoc, bez których strajk nie miałby racji bytu. Nie pamiętam czy w maju czy w sierpniu, ale dojścia do plebani przylegającej do kościoła św. Brygidy były uniemożliwiane przez ZOMO, a bezpieka polowała na kurierów. Były momenty, że żyliśmy jak w oblężonej fortecy.

Koordinatorkami pomocy dla strajkujących - zarówno w maju, jak i w sierpniu - była Janina Wehrstein i Gosia Gorczevska. Te dwie panie wykonywały tytaniczną pra-

cę by skoordynować różnorodne osobowości i potencjały ludzkie. W maju Gośka zleciła mi bym wraz z Adamem zajął się przygotowywaniem przesyłek do stoczni, w których były m.in. papierosy, bibuła, jedzenie i medykamenty. Natomiast w sierpniu nikt nikomu nic już nie musiał wskazywać. Wiedzieliśmy co mamy robić.

W miarę upływu czasu rosły potrzeby i zainteresowanie na bibułę. A że miałem w tym wprawę (tego fechtunku nauczyłem się drukując bibułę RSA), więc drukowaliśmy wszystko co wpadło w nasze ręce. Drukowaliśmy nawet napis SOLIDARNOŚĆ na biało-czerwonych opaskach, które były przekazywane do strajkujących zakładów.

Kiedy strajki majowe wybuchły w Gdańsku i zakończyły się 10 maja, to w połowie sierpnia 1988 roku strajki zainicjował Śląsk. Jako pierwsza stanęła kopalnia „Manifest Lipcowy”, potem inne kopalnie. Następnie strajki wybuchły w Szczecinie. Dopiero 20 sierpnia na wybrzeżu gdańskim strajk zaczął Port Północny a 22 sierpnia Stocznia Gdańska. Jak tylko rozeszła się wieść, że w Gdańsku strajkują prawie wszyscy, ci którzy wspomagali strajki majowe przybyli do Brygidy. Tak jak w maju studenci strajkowali na uczelniach, tak w sierpniu przyłączyli się do wspomagających. Np. Wojtek Mazur w maju brał udział w strajkach na PG a w sierpniu wraz z Cezarym Waluszko, Markiem Rożakiem drukowali bibułę dla Gdańskiej Stoczni Remontowej. Wszyscy wiedzieli co mają robić, nikt nikim nie kierował.

Osoby zebrane w kościele św. Brygidy prowadziły również zażarte dyskusje o tym co będzie, jak strajki zostaną przegrane i jaka ma być Polska po zwycięskim strajku. Spory o Polsce nasiliły się ok. 28 sierpnia 1988 roku, gdy zaczęły do nas docierać informacje, że strajki trzeba zakończyć a z komunistami trzeba się dogadać. Było to stanowiące.

W dyskusjach przewijały się konkluzje, że żaden człowiek nie jest samodzielną wyspą, a jednocześnie nie może żyć bez nadziei. Choć ta w obozach na Kołymie zabiła więcej ludzi niżli głód, mróz i kule wartowników. Podkreślano, że nadzieja może dodać człowiekowi siłę, ale może ich też pozbawić, jeśli jest z założenia kłamliwa. Wskazywano, że kłamstwo tkwi w totalitarnej władzy. A dogadywanie się z komunistami zaczynało postrzegać jako kosmetykę państwa totalitarnego.

Wskazywano też, że reforma rynku - reprivatyzacja nie jest odkrywczą i jest jedynie kamuflażem dla elit. Zwolenników rynku i reprivatyzacji można znaleźć zarazem w politbiurze jak i wśród ekspertów Solidarności. Mówiący zaczęli dostrzegać pozorną absurdalnością solidarności elit.

Dla obecnych w kościele św. Brygidy wszystko stało się jasne. Po jednej stronie zmieszczą się te wszystkie kręgi „elit”, które realizują gospodarczą reformę rynkową, chcąc wprowadzić akcje i obligacje, popierają prywatny handel i przemysł, biorąc w jego rozwoju aktywny udział. Ci sami eksperci „S”, którzy tak gorączkowo postulują reprivatyzację, zapominają wyjaśnić kto będzie mieć środki i będzie w stanie nabywać akcje i obligacje Stoczni Lenina, Nowej Huty czy Ursusa. A będzie to przecież nie kto inny niż syn wicepremiera, żona pułkownika, właściciel firmy polonijnej, budylnik czy zagraniczny udziałowiec Kruppa.

Ktoś stwierdził, że reżim, który byłby w stanie coś podobnego zrealizować miałby ponurą gębę gen. Pinocheta, który w obronie prywatnej własności będzie używał takich metod wobec przeciwników, że w porównaniu z nim nawet Bierut będzie poczciwym amatorem. Przeszczepianie mechanizmów wolnorynkowych - reprivatyzacji - na grunt gospodarki państwowej będzie miało odwrotny skutek, mniejszą efektywność od systemu nakazowo-rozdzielczego.

W Polsce od momentu podwyżek wisiało cały czas pogotowie strajkowe. Dopiero w kwietniu, maju od 13-tego grudnia objęły większą ilość zakładów. Strajk zakończył się 9 maja obietnicą podwyżek płac – BYŁY TO TYLKO OBIETNICE!

Znowu SIERPIEŃ, tylko 1988, lecz tym razem zapoczątkowała strajki kopalnia Manifest Lipcowy a w kilka dni później wybuchały strajki solidarnościowe w innych kopalniach, stoczniach, portach i zajezdniach etc. Na szczególną uwagę zasługuje 10 punkt postulatów strajkujących górników z kopalni „ML”: „uzgodnić wszystkie inwestycje z załogami”. Ow postulat brzmi tak jak hasło rewolucji 1917 roku. Możemy się spodziewać, że przy przyszłych strajkach jednym z pierwszych postulatów będzie „cała władza w nasze ręce!”. Albo robotnikom uda się własności państwowej nadać bezpośredni społeczny charakter, co zakłada obalenie biurokracji, albo biurokracji, rozpadającej się i skłóconej uda się przekształcić własność państwową we własność prywatną, co oznacza powrót kapitalizmu, a na płaszczyźnie społeczno-politycznej oznacza rozbitcie wszystkich organizacji, które udało się robotnikom stworzyć i mimo represji utrzymać, a w pierwszym rzędzie samej SOLIDARNOŚCI.

31 sierpnia dowiedzieliśmy się, że strajk ma zostać zakończony. Ze schodów plebani kościoła św. Brygidy do zebranych zwrócił się m.in. ks. prałat Henryk Jankowski, Lech Wałęsa, Adam Michnik, którzy przekonywali zebranych do potrzeby i konieczności zakończenia strajku. Ja i reszta wspomagających obserwowaliśmy to zjawisko z okien salki katechetycznej znajdującej się na pierwszym piętrze plebani. Widziałem na twarzach skupienie i euforię, zdumienie i zwątpienie. Czuliśmy się oszukani. Byliśmy w szoku. W pewnym momencie ktoś z nas pozbiierał odpadki po ulotkach i wyrzucił za okno, które rozsypały się nad głowami ludzi. Ten akcent zakłócił tylko chwilowo wiec, bo ludzie byli spragnieni wolnego słowa. Jakież było ich zdziwienie, gdy przekonali się, że były to tylko czyste karteczki. Po chwili do salki wkroczył ksiądz i zapytał, komu się nudzi? Komu dać kopniaka?

Paweł Końjo Konnak,

## TRANZYTORYJNA FORMACJA TOTART I RSA CZYLI ANARCHIZM METAFIZYCZNY

*lat temu wiele gdy nikogo nie byłem w stanie kochać  
ciebie pokochałem pierwszą niewinną miłością...  
nosiłem ze sobą twoje dwa cytaty  
i krzyczałem na każdym rogu ulicy...  
gdy wszystko zalewało triumfujące błoto  
trzeba się było czegoś trzymać  
więc trzymałem się ciebie...  
Paweł Końjo Konnak, „Max Stirner”.*

Ta cała historia miała duże szanse aby w ogóle nie zaistnieć – gdyby nie ów fatalny dzień 13 grudnia 1981 roku. Wtedy to nowy kapo naszego obozu, generał Jaruzelski słodko zwany też Spawaczem lub Ślepowronem, postanowił wziąć zbuntowaną prowincję za ryja. I siłami swoich umundurowanych niewolników spacyfikował PRL wprowadzeniem stanu wojennego. Ten akt ponury zapewne zdeterminował nie tylko moje wybory egzystencjalne, ale także wielu innych lokatorów owego żalostnego baraku jakim był pryl. Czyli spadowa wersja pojałtańskiego notworu o nazwie PRL. Co jednak nie zmienia faktu, że nawet dziś jakaś połowa moich rodaków uważa generała J. i jego poddanych z WRON za wielkich polskich patrio-

1 września ze Stoczni Gdańskiej ruszył pochód strajkujących, który dotarł do kościoła św. Brygidy, gdzie zakończenie strajku dokonało się Mszą Świętą. Wśród maszerującej zbitej masy strajkujących nie spotkałem znajomych. Po półgodzinie pojawił się Wojtek Jankowski. Płakał. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym powiedział: Zdradzili. Po jakimś czasie okazało się, że Wojtek Jacob Jankowski, choć oczekiwano od niego by wziął udział w Okrągłym Stole, pojechał w góry i tam zamieszkał.

Lista osób biorących udział w strajkach majowo-sierpniowych 1988 roku związanych ze środowiskiem RSA:

1. Genowefa Babińska – kurier, pomoc strajkującym w maju i sierpniu.
2. Paweł Babiński – kurier, pomoc strajkującym w maju.
3. Piotr Babiński – w Stoczni Gdańskiej wydawał „Głos Trzeciej Bramy”.
4. Tomasz Borewicz (do 1999 Burek) – pomoc strajkującym (maj-sierpień) [WiP].
5. Ivo Franus – strajk na UG (maj) [NZS].
6. Krzysztof Galiński – pomoc dla strajkujących [WiP].
7. Małgorzata Gorczewska – pomoc dla strajkujących [WiP].
8. Roman Hebel – Stocznia im. Lenina.
9. Adam Jankowski – pomoc dla strajkujących, druk bibuły.
10. Wojciech Jankowski – uczestniczył w Stoczni Gdańskiej, druk bibuły [WiP].
11. Wojtek Mazur – strajk na PG (maj), druk bibuły (sierpień) [RSA].
12. Leszek Mitrus – strajk na UG (maj), pomoc strajkującym (sierpień) [RSA].
13. Śp. Mariusz Pogorzelski – kurier [RSA].
14. Sylwester Pogorzelski – kurier [RSA].
15. Marek Rożak – druk bibuły, pomoc strajkującym [PPS]
16. Zbigniew Stybel – pomoc strajkującym, druk bibuły w ośrodku pomocy w parafii św. Brygidy [RSA].
17. Cezary Waluszko – druk bibuły (sierpień) [RSA].
18. Marek Waluszko – strajk na UG (maj) [NZS].
19. Klaudiusz Wesolek – strajk na UG (maj), pomoc dla strajkujących (sierpień) [WiP].

tów. Jak śpiewał onegdaj Poeta Podziemia: Niezmierzone są pokłady ludzkiej niekumacji...

Do owego nieszczęsnego trzynastego żyłem jak każdy w miarę normalnie rozwijający się chłopiec. Ale gdy pod twoim domem defilują polskie czołgi produkcji radzieckiej, dumne wygraną z własnym narodem wojną, to dziwne myśli przychodzą ci do głowy. Pogłębiający się z każdym tygodniem stan duchowej degeneracji zbiorowego socjalistycznie organizmu, wzbudzał w nastoletnim Pawle K. odruchy wymiotne na widok profesjonalistów w mundurach Ludowego Wojska Polskiego. Szukałem swojego własnego głosu dla wyrażenia niezgody na syf w który mnie wpakowano. I gdy latem roku 1982 usłyszałem nagrania podziemnych kapel SS-20, TZN Xenna, WC, Corpus X, Rejestracja i Bikini to pojąłem, iż Poroniona Generacja nareszcie przemówiła.

Od tej pory starałem się nawiązywać kontakty z istotnymi przedstawicielami tzw. drugiej punkowej załogi. W atmosferze totalnej blokady informacyjnej nie był to akt prosty jak pała zomowca. Ale ponieważ sytuacja w baraku zagęszczała się z prędkością czołu T-34, to miałem solidną motywację do wyrwania się z dusznej getta bolszewickiej



codziennosci. Pisałem listy do formacji grających muzykę alternatywną i na własnym, kaszubskim poletku, szukałem bratnich dusz z mojego wegetującego plemienia.

Dzięki temu wygenerowałem pierwsze interakcje z nieco starszymi załogantami, którzy podobnie jak ja nie byli jednak wielbicielami nowego, wspaniałego świata in da Orwell style. Był wśród nich Maciek Lechita Szyłejko, fan punk rocka i gdańskiej Lechii, który, uczestnicząc we wszelakich ulicznych zadymach epoki kamienia rzuconego, poznał w tych radykalnych okolicznościach przyszłych udziałowców RSA.

Kolega Lechita wraz z ekipą ćwiczył przeróżne formy partyzantki miejskiej, a ja heroicznie usiłowałem wyrąbać swój fragment niezależności w betonowym soc-świecie. I miesiąc przed maturą, w marcu roku apokaliptycznego 1984, zorganizowałem mój pierwszy koncert w gdańskim klubie stocznio-wca Akwen. Nosila ta operacja wszystko mówiący kryptonim – Party Młodzieży Wegetującej. A zagrały na nim istotne podmioty fonicznej rebelki czasu tamtego gównianego – szczecińskie Corpus X i Zwolnienie Warunkowe oraz trójmiejskie bendy Klimat, DDT i Kredki.

Kilka miesięcy później, gdy już desperacko walczyłem o przetrwanie jako student filologii polskiej w Uniwersytecie Gdańskim, udało mi się nawiązać kontakt z Zygazkiem, charyzmatycznym wokalistą stołecznej legendy pankrokowej TZN Xenna. Obywatel Z. okazał się być osobnikiem ze wszech miar uzdolnionym – oprócz zdzierania gardła w swojej zasłużonej podglebiu formacji wydawał także magazyn „Fortran”. I zaprosił Pawełka z Gdańska, noszącego wtedy alternatywnie środowiskową ksywkę Margines, ku współredagowaniu tego energetycznego przejawu printerskiego.

W ten sposób rozpoczęła się moja wielka przygoda ze światem wydawnictw pojedynczych. Gdyż owoce owej kooperacji tak mnie podkręciły, że podjąłem decyzję o wykreowaniu własnego pisma podziemnego. I tak na wiosnę roku 1985 wygenerowałem numer pierwszy pankowego nieregularnika „Gangrena: Tadzypao Młodzieży Wegetującej”. Do czasu przełomu totartalnego wydałem pięć numerów owego niszowego kilera. Nakład wahał się od pięciu do pięćdziesięciu białokruczych egzemplarzy. Część owej bezdebitowej karbonary wydrukowana była na tak haniebnym xero, iż jakoś wymagała od potencjalnego czytelnika dużego zaangażowania w akt odszyfrowania buńczucznej merytoryki.

Skąd owe pankrokowe intro, Czytelnik przenikliwy zapyta? Ano stąd, iż jesienią roku '85 Lechita, kumplujący się z bratem moim starszym, przyprowadził do domu naszego Jasia Waluszkę. Który okazał się być fanem wszelakich niezależnych wydawnictw, w tym i Marginesa „Gangreny”. I tak zainaugurowała się moja kooperacja ze środowiskiem RSA, które wtedy właśnie intensywnie rozwijało skrzydła jako m.in. inicjatorzy radykalnej napierdalanki z ZOMO i SB na ulicach Gdańska w dniu 1 maja 1985. Tudzież animatorzy, jakże dla każdego prylowskiego młodziana istotnej, akcji antyMON.

Długie godziny spędzone na twórczym dyskursie z obywatelami Jasiem W. niezwykle nas ze sobą zintegrowały. To właśnie w dni owe nadałem mu ksywkę Jany, na cześć bohatera z obłąkanego opowiadania Lutra, perkusisty i autora tekstów formacji korzennych Deadlock i Tilt, drukowanego w jego pojedynczym magazynie „Papier Białych Wulkanów” z roku jeszcze 1981. A dzięki rozmowom o drodze do Nieśmiertelności i Wolności poznałem także innych udziałowców tego radykalnego kolektywu – Krzyśka Skibę, Czarka Waluszkę, Wojtka Jacoba Jankowskiego, Wojtka Hrynia Mazura, Krzyśka Galla Galińskiego i Zbyszka Swińska Stybla

Od tej pory Jany i jego kamraci z RSA nawiedzali organizowane przeze mnie koncerty z serii Party Młodzieży Wegetującej oraz Podziemna Wysepka, na których grały ówczesne ikony pankrocka: Dezerter, Abaddon, Rejestracja, Dzieci Kapitana Klossa, Karcer i Stan Zvezda. Fighterzy z Ruchu dylowali podczas wykonów libertariańska bibułę – mającą między innymi zaktywizować, dość pasywnie podówczas, środowisko trójmiejskich konsumentów muzyki alternatywnej. Interakcje Pawełka Marginesa z RSA przebiegały w wysokim potencjale energetycznym i dlatego, gdy 23 kwietnia 1986 roku eksplodował Totart, byliśmy dobrze przygotowani do współpracy jednostkami bojowymi.

Właściwie już od owej pierwszej operacji o kryptonimie Miasto-Masa-Masarnia wygenerował się między środowiskiem Totartu i RSA fantastyczny obieg wymiany pozytywnej. W domu Zbyszka Mesjago Sajónoga, kierownika artystycznego (staropolskie) Tranzitorium, odbywały się wielogodzinne sympozjony znachorów duszy publicznej. Knuliśmy plany wspólnych operacji przeciw obrzydliwemu nam komunistycznie totalowi i jego ponuremu sobowótowi o nazwie „społeczeństwo prył”. Integracja socjety anarchistycznej z metafizykami społecznymi przebiegała w szerokim spektrum – od intymnych realizacji printerskich po wspólną organizację niezwykle widowiskowych upublicnień.

Na poletku pierwszym zjawiała się współpraca Janego z Końjem, gdy niegdysiejszy punk-Margines zaczął na jesieni '86 wydawać magazyn nowin totartalnych „Futurfoto”. Jany, przez Skibę czule nazywany Papieżem Anarchizmu Polskiego, publikował na łamach owej zlewnej bibuły swoje przewrotnie historiozoficzne manifesty. A gdy za czas jakiś Końjo powoła do istnienia wydawnictwo Księgozbiór Zlew Polski, to ujawni przed światem jego esencjonalne dzieło pt. „Rzecz o Sarmacyi, o ukształtowaniu, miejscu w Europie i szansach jej rozwoju przez powrót do korzeni. Szkic przez Janusza P. Waluszkę w punktach 53 prozą...”

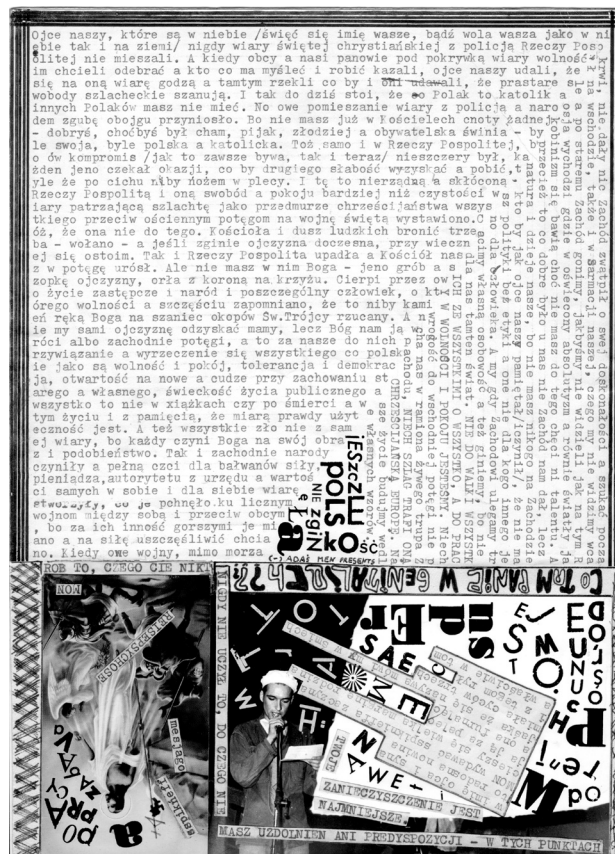
Na poletku drugim załoga Totartu uczestniczyła w operacjach nakręcanych przez środowisko RSA i świeżo wtedy konstytuującego się ruchu Wolność i Pokój. W sierpniu



1986 przybyliśmy na drugą edycję anarchistycznego jambooree Hajt Park, zorganizowanego nad jeziorem Wyspowo koło Wejherowa. Zrealizowaliśmy tam nihilistyczne nocne ujawnienie poetyckie, połączone z paleniem wierszy „żeby było jaśniej i cieplej...”. Wspólnie przepędzało nas z tej urokliwej okolicy nieproszone aczkolwiek spodziewane ZOMO, co w moim przypadku zakończyło się także wieloletnim przyblokowaniem paszportu i zaproszeniem do coraz większego „klubu więźnia granic”.

Wzajemnie inspirowaliśmy się ku czynom wielkim i pięknym w heroicznym rytmie życia czasów końca permanentnego. We wrześniu '86 przygotowałem edytorstwo „Jacobizmy”, czyli wspomnienia Jacoba z sezonu spędzonego w psychusce. W październiku Gall zaprosił Totarta na konspiracyjne ujawnienie w gdańskim szpitalu psychiatrycznym, gdzie ukrywał się przed łapsami z SB i szaczną służbą w szeregach LWP. To wtedy po raz pierwszy wystąpił z nami Tymon Tymański, który na oczach licznie zgromadzonych wariatów odbył stosunek płciowy z godłem PRL. Lat później wiele opisał ów performans w przenikliwym kawałku grupy Tymon & the Transistors pt. „Dymać orła białego”. W listopadzie Skiba invitował nas do łódzkiego klubu Balbina, w którym zlewaliśmy się w towarzystwie świeżo wypuszczonego z więzienia Jacoba. A za dni kilka Jany brał udział w naszej profuzyjnej akcji bezpośredniej w murach gnijącego Uniwersytetu Gdańskiego. Po czym Zbyszek i Końjo ujawnili się na grudniowych łamach „Homka” - w artykule opisującym kolabo-praktykę gdyńskiej grupy Pancerne Rowery, podczas spacyfikowanego przez ZOMO sitingu RSA i WiP, na propagandowej akademii bolszewików o nazwie Rock dla pokoju. Artykuł totartowców nosił wszystko mówiący tytuł: „Alternatywna koprofagia”.

Pomimo zamknięcia tego elementu dziejów Wszeczeświata zwanego przez teoretyków zlewu i milicję Totartem Pierwszej i Drugiej Generacji, co nastąpiło po Rzeźni Rzeszowskiej w grudniu roku '86, relacje Tranzytorium z RSA nie dość, iż nie osłabły, to jeszcze nabrały krwiście nowych rumieńców. Powołana wkrótce Agencja Ariergarda 1 na swoje licznie organizowane ujawnienia zapraszała śmiało i szczerze radykałów podziemia politycznego. Zwerbalizowana idejka tego wcielenia Totartu grzmiała: Jesteśmy ariergardą narodowej kultury - pilnujemy, by nikt nie wyrzucił jej w dupę! W rytmie owego przesłania zrealizowaliśmy serię szybkostrzelnie brutalistycznych upublicznień, na których w pole wymiany energetycznej wchodzili kamikaze RSA na zmianę z zagończykami Ariergardy. W lutym '87 zapraszamy do Gdańska na koncert anarchoseksualną trupę Rozkrock oraz Dezertera, z którym spotykają się emisariusze z Ruchu. Dochodzi do istotnych rozmów z kapelą Krzyśka Grabowskiego i Robala Matery. W tym samym miesiącu, dzięki wsparciu hiperaktywnego Skiby, udaje się zorganizować w Łodzi wielki festiwal Ariergardy pod kryptonimem Audiowizja Działań Nieprzyswajanych PRĄD. Przez trzy intensywne dni walczą, jak ładnie ujął futurystyczny Poeta - o wyzwoleń serce człowieka, najistotniejsze formacje progresywnego podziemia - Luxus, Henryk Brodaty, Szelest Spadających Papierków, Kormorany - Orkiestra Raj, Łódź Kaliska, Totart - Muzeum Objazdowe, Mc Marian... Do akcji spontanicznie włączają się Jacob i Klaudi Wesołek. Za chwilę świeża satelita Tranzytorium, grupa kolorowa Yo Als Jetzt, propagując nieśmiertelne idee Poezji Ulicznej przekazuje doświadczenia sztuki graffiti RSA i WiPowi. W marcu, na zaproszenie Skiby, Ariergarda 1 ponownie atakuje łódzki klub Balbina, aby upublicznić projekcje Grupy Poetyckiej Złazi Mi Się Do Środka podczas koncertu legendarnej formacji Kaman & Big Bit (słynny alter-hit pt. „ZOMO na Legnickiej”).



Latem roku 1987 dochodzi do zgrupowania w Borach Tucholskich ekipy nazwanej Kanibale Kultury. Trupa kultury pożerali - RSA, Kormorany, Yo Als Jetzt, wrocławska Galeria Pojęcie Galeria Jest Nieodpowiednie i Totart. W tym intensywnym gronie zastanawialiśmy się nad dylematem jakże prymarnym - co zrobić w sytuacji, w której już nic nie można zrobić? Jedną z konsekwencji tamtego konwersatorium jest idejka Międzymiastówki Anarchistycznej, która widowiskowo eksploduje za kilkanaście burzliwych miesięcy. Co ciekawe, zgrupowanie Kanibali Kultury rozbił atak milicji i SB po donosie złożonym przez borowieckich chłopów. Bystry autochtoni każdego obcego, wyglądającego nieco bardziej kolorowo niż sołtys Śliwicy, brali nieodmiennie za potwora i satanistę. Czyli reagowali tak, jak dekadę później redaktor naczelny „bruLionu”.

Jesienią '87, dzięki kumplom z WiP, nawiązujemy kontakt z Transnarodową Partią Radykalną. Przy pomocy partyjnych kolegów Marco Panelli i Ciccioliny, na wiosnę roku 1988, ukaże się numer pierwszy naszego magazynu „Higiena - przegląd archeologiczny metafizyki społecznej”. Tam swój kornier istotny zagospodaruje Jany, publikując słynny text pt. „Garść chaotycznych uwag o wyjściu z sytuacji bez wyjścia lub permanentna rewolucja na rzecz świętego spokoju”. Numer drugi magazynu, o nazwie „Spaßguerilla” czyli partyzantka śmiechu, z przyczyn złożonych niestety się nie ukaże. Ale za to podczas wielkiej wrześnieowej Realizacji Warszawskiej, którą organizujemy w konstelacji słynnego festiwalu Róbrege, tańczy i walczy z nami Grupa 80 Teatru Pstrag, której jednym z akcjonistów był Krzysiek Skiba. Innymi uczestnikami owej wiekopomnej operacji były m.in. świeżo narodzona grupa Miłość i anarcho-pacyfistyczno-ekologiczny, stołeczny kolektyw Praffdata.

Przez cały czerwiec '88 trwa, nakręcany przez RSA, zadziwiający performans w tajemniczych latyfundiach gdańskiego kościoła Świętej Brygidy. W twierdzy zakręconego prałata Jankowskiego organizujemy podgłębny twór o kryptonimie Duszpasterstwo Anarchistyczne. Ten cykl

zainauguruje wystąpienie Muzeum Objazdowego Totartu, co odnotuje nawet posoborowe pismo „Powściągliwość i Praca” piórem legendarnego hipisowskiego poety Antoniego Pawlaka. W październiku '88 odbywa się w gdańskiej hacjendzie Hrynia pierwszy zjazd Międzymiastówki Anarchistycznej. W ekipie montującej owo wspaniałe integracyjne wydarzenie znajdują się RSA i Totart, który w międzyczasie raz kolejny zmienił nomenklaturę na Koncern Metafizyczno-Rozrywkowy „Pigułka Progresji”. Przybywają z całego prądu dziesiątki dynamicznych przedstawicieli alternative socjety, których już po kilku minutach atakuje brygada antyterrorystyczna, SB i ZOMO. Czerwoni rozpedzają nasze zgromadzenie i rekwirują scenografię Totartu oraz dużą część nakładu „Higieny”. Atak ziomali generała Kiszczaka powoduje także kompletne wystygnięcie 50 kilogramów bigosu, troskliwie ugotowanego przez Mesjago Sajnóga. Zapis VHS tego zdarzenia, uczyniony przez tajniaków, odnalazł się po 25 intensywnych latach i można go kontemplować pod adresem <http://youtu.be/JtwFRZGYVSA>.

Wiosną roku pamiętnego 1989 Totart wyruszył, wraz z aktywistami WiP, Praffdaty i Pomarańczowej Alternatywy, do Budapesztu na 35 Kongres Transnarodowej Partii Radykalnej. Ponieważ był to pierwszy taki przypadek od zakończenia drugiej wojny światowej, że komunistyczny kraj wpuścił na obrady do siebie polityków z Europy Zachodniej, wydarzenia te nazwano symbolicznym zniesieniem żelaznej kurtyny. Po czerwcowych wyborach, razem z nowo powołaną grupą X Pawilon, Tranzytorium śmiało ruszyło ku realizacji naszych odwiecznych marzeń – o założeniu w Gdańsku niezależnego klubu oraz o powołaniu obszaru w przestrzeni miejskiej, który w wersji open air spełniałby rolę wolnej trybuny.

Po serii sitingów pod KW PZPR, happeningów ulicznych tudzież nalotów na Urząd Miejski, już w lipcu '89 zainaugurowaliśmy działalność Placu Wymiany Pozytywnej. Tak zwaną część artystyczną tego wspaniałego zdarzenia obstawiali metafizycy społeczni – na klimatycznym koncercie wylały się m.in. poszukujące grupy Miłość, Szelest Spadających Papierków i frakcja dźwiękonaśladowcza Tranzytorium czyli Totart DDA. Rejestrację tego pionierskiego upublicznienia opublikuje niebawem moje osobiste wydawnictwo Fonografia Zlew Polski – na kasecie pod tytułem, a jakże: „Plac Wymiany Pozytywnej”. Istnieje pewna nadzieja, że już po 24 latach ukaże się reedycja owego wydawnictwa na płycie CD. Bądź czujny!

Niestety, na jesieni roku tego utracimy naszą pierwszą powojenną zdobycz, czyli właśnie ten mityczny Plac. Powodem, według Totartu, było niezrozumienie przez najmłodsze pokolenie kontestatorów istoty wolności. Która polega nie tylko na balanżkowaniu, ale jest wypadkową mało widowiskowych obowiązków, ciężkiej pracy i samodzielnego myślenia. Już tu zarysowały się pierwsze zgrzyty, które za dwa lata doprowadzą do rozejścia się dróg Tranzytorium i Federacji Anarchistycznej.



Ale, póki co, jeszcze razem walczyliśmy z mało życzliwymi władzami miasta o przekazanie nam w administrowanie niezależnego klubu. Po trwających wiele miesięcy negocjacjach otrzymujemy ruiny na ulicy Barbary, w krymogennej części Dolnego Miasta. To okrutny żart odchodzących komunistów – wiedzą, że wykończy nas katastrofa budowlana, patologiczny element autochtoniczny tudzież nad wyraz w tych okolicach aktywni naziole.

Jednak nie odpuszczamy. Desperacko remontujemy zabytkowy budynek, który przed wojną był miejscem spotkań wspólnoty protestanckiej zamieszkującej Freie Stadt Danzig, po 1945 czymś na kształt anemicznego domu kultury a w stanie wojennym spełniał rolę prowizorycznych koszar ZOMO. Nie działa ogrzewanie, kanalizacja i przegniła elektryka ale w grudniu 1990 odpalamy pierwsze wydarzenie w Klubie Inicjatyw Społecznych C14 – wielki show wnuków akcji „Wisła” pod kryptonimem Ukraińskie Noce. Grają kapelę z Polandu i ojczyzny atamana Petlury, a my pełni woli mocy wciąż ufnie patrzymy w naszą alternatywną tu przyszłość.

Niegdyśiejsi udziałowcy Yo Als Jetzt, Joanna Kabala i Andrzej Awsiej, wraz z radykalnym twórcą multimedialnym Markiem Piętaszkiem Rogulskim, powołują w tych turpistycznych przestrzeniach Pracownię/Galerię C14. Na co dzień malują i tworzą instalacje w arktycznych warunkach oraz zajmują się rewitalizacją tej zmysłowej kupy gruzów. Piec padł tuż po pierwszym koncercie, co dało nam wszystkim niepowtarzalną okazję do udziału w wielomiesięcznej spontanicznej krioterapii. Mimo szronu na twarzach bojowa trójca regularnie organizuje extatyczne wernisaże psychodelicznej sztuki walczącej. A Końjo festiwal Kino Oralnego Niepokoju tudzież progresywny maraton koncertowy pod tytułem Czysta Energia. Tu także, z okazji hucznie obchodzonych piątych urodzin Totartu, odbędzie się Konferencja Wydawnictw Pojedynczych i pierwsze na Pomorzu acid party.

Niestety, powtarzające się ataki skrajnej prawicy i meleni oraz cyniczne podnoszenie czynszu przez miejskich urzędników, do poziomu opłat które ponosi konwencjonalna dyskoteka a nie prowadzony przez grupkę idealistów niezależny ośrodek aktywności multikulturowych, powodują coraz więcej kwaśnych refleksji co do sposobu działania C14 pośród jego dotychczasowych udziałowców. W wyniku braku porozumienia ekipa Totartu z bólem serca opuszcza alternatywną arkadię, wymarzoną latami bojów w bolszewickiej niewoli. Przystępujemy wraz z ex-Galerią C14 i załogą Galerii Wyspa do projektu Otwarte Atelier, który przejmuje mniej nieco tylko zrujnowany budynek na ulicy Jaskółczej. To miejsce szczęśliwie istnieje do dziś i jest jednym z pomników desperackiej walki naszego pokolenia – nazywa się Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia.

Potem, przez czas jakiś, różnie nam się z kolegami anarcholami układało. Oni nie byli zachwyceni medialnymi podbojami udziałowców Totartu. A ja nie byłem przekonany, iż największym zagrożeniem dla zniekanej ludzkości są niecne knowania korporacyjnych producentów zapiekank i lemoniady. Szczęśliwie, po chwilowych dąsach, wymiana pozytywna pomiędzy Tranzytorium a trójmiejskimi anarchistami nawiązana została ponownie. W nowych już realiach i w nieco postmodernistycznym kontekście. Pod koniec roku 1993 Man-Gala Press, świeże wydawnictwo Krzyśka Galla Galińskiego, ujawniło pierwszą antologię Grupy Poetyckiej Złali Mi Się Do Środka pt. „Jak nie sprzedać się za mleczko i serek”. Gdy w 1994 roku kręciłem kolejny odcinek mojego przekroczonego talk show pod kryptonimem „Niemyte dusze Konika”, to odwiedziłem z kamerą siedzibę Federacji Anarchistycznej w sopockim Infoshopie B12. W tym samym roku zrealizowałem jedno z marzeń mojego alternatywnego istnienia



czyli film pt. „Dezertor - nie ma zagrożenia”. Wśród zaproszonych ku niemu gości specjalnych znalazł się Jany Waluszko. Na łamach kultowej „Mać Pariadki” przeprowadzono słynne wywiady z udziałowcami naszej profuzyjnej rodziny - Tymonem Tymańskim i Lopezem Mauzere. W XXI już wieku Papież Anarchizmu Polskiego nawiedził Końja w Łażni, aby stać się istotnym interlokutorem Pawełka w jego kuratorskim cyklu pod nazwą Mistycy. Literaci. Wariaci. Później był Jany wykładowcą z fakultetu trzeciego obiegu w gdańskiej Akademii Polskiego Rocka, nakręcanej przez Końja i Skibę. A wielu udziałowców tej opowieści spotkaliśmy z Krzyśkiem w 2010 roku, podczas zrealizowanych w Szczecinie uroczystości z okazji 25-lecia ruchu Wolność i Pokój. Połączonych z odsłonięciem, jedyne chyba na świecie, Pomnika Powielacza...

Podróż trwa. Przeżyliśmy razem wiele pięknych i absolutnie beznadziejnych chwil. Dla mnie najważniejsze po tych wszystkich zadziwiających latach jest to, że wciąż

jesteśmy kumplami, którzy potrafią przekazać sobie gabajty pozytywnych wibracji. Nikt nie wie, co jeszcze się wydarzy na tej tajemniczej kulce o nazwie Matka Ziemia, więc całkiem jest prawdopodobne, iż nie raz jeszcze przyjdzie nam spotykać się w twórczej interakcji na linii anarchiści - metafizycy społeczni. Jeżeli o mnie chodzi, to w tej kwestii jestem zawsze na TAK!

PS. Ciekawym rozszerzenia świadomości w temacie światów alternatywnych polecam książki istotne:

Krzysztof Skiba, Jarosław Janiszewski, Paweł Końjo Konnak, „Artyści. Wariaci. Anarchiści. Opowieść o gdańskiej alternatywie lat 80-tych” (Narodowe Centrum Kultury, 2011).

Paweł Końjo Konnak, „Gangrena - mój punk rock song” (Narodowe Centrum Kultury, 2011).

Paweł Końjo Konnak, „Karnawał profuzji” (Narodowe Centrum Kultury, 2013).

Edwin M. Naruszewicz (dr Ead)

## W NATURZE MAMY CIĄGŁY RUCH...

Opowieści rocznicowe wymagają kręgu starych druhów i gromadki młodzieży; pierwszych by protezowali sklerotyczne luki w gawędzie, drugich by pobudzali (bywa że i budzili) do snucia ballady i smyrali oratora zachwytem pod łechtliwą paszkę. Nieodzowne wydają się też nabita fajka, pełen puchar i żagwie trzaskające w kominku, co podnosi niewątpliwie dramaturgię snutych opowieści. Zdarzenia takowe dzieją się w intymnej i ulotnej czasoprzestrzeni, która to, jako zdarzenie, bywa napędem do kolejnych opowieści, i tak aż za horyzont zdarzeń. A rocznice są zawsze zdarzeniami szczególnymi.

Dobrze jest dzielić się myślą i wrażeniami, zatem Jany rzekli, żeby rocznicę Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego uczcić zbiornikiem opowieści, ba! - umonumentnić ową chwilę w celulozie za sprawą wynalazku Wang Zi i Gutenberga. Na stalówkę ciśnie się wiele historii, przepychają się, każda chce być wypowiedziana pełnym głosem i to na dodatek jako pierwsza. Chaos i anarchia! Lao Zi powiada: Dążenie ku swemu przeciwieństwu jest przejawem ruchu dao. Czas owe bezhołowie i nierząd w orydyku jakowymś władzić. Tak, tak... terror narracji... pamiętajcie jednak, co mówi mistrz Lao.

### RUCH

Pojęcie „ruch” w dziedzinie zbiorowych przedsięwzięć człowieczych pojawia się często jako znak rozpoznawczy zrzeszenia osób ceniących sobie czyn i w samej nazwie już chcących powiadomić publiczność o swych preferencjach. Jedne z owych przedsięwzięć zalecają się wizją rekreacji dawnych-dobrych czasów, inne zaś roztaczają powab świata nowego - zawsze chodzi o dążenie do jakowegoś celu (telos), umiejscowionego poza horyzontem terażniejszości, do utopii czasu minionego bądź utopii czasu przyszłego. Ułomnością utopii jest to, że wcielana w życie - w dobrej wierze - przeradza się w swoje zaprzeczenie, grzęźnie w ekskluzywnym dogmacie i technicznych detalach; bywa, że jej urzeczywistnianie jest zasłoną skrywającą oligarchiczne żądze. Tak czy inaczej, utopia spełniona jest stanem jednoznacznie dookreślonym w każdym calu, skończoną doskonałością, w której każda zmiana, jakkolwiek ruch, z istoty swojej, jest pogorszeniem. Telos staje się topos, oznacza szczęście w bezruchu i monotonnym samoodtwarzaniu.

Akcjom i proklamacjom takowych zrzeszeń zawsze to-

warzysz jakaś ideologia, mniej lub bardziej udatnie uściślona w doktrynę i program - ot tak, aby w opisie „dziś”, „wczoraj” i „jutro” od innych formacji w sposób widomy i bezbłędny się odróżnić. Pojawia się ruch ku wyłączeniu się z całości wspólnoty, ku okrzepnięciu w ekskluzywności, ku partyjnej (partiri) perspektywie. Sztandar doktryny staje się credo zwolenników, myślącym inaczej broni się dostępu do szeregu, odmawia się racji, a bywa, że i prawa do istnienia.

RSA ominęło rafa partyjności, i to nie dlatego, że jest propozycją intelektualną mdłą i niezborną. Przeciwnie: wyraźnie określiło swą tożsamość, lecz nie obwarowało jej dogmatyką, regulaminem i hierarchią; „idejki”, choć nie pozbawione znacznych antecendencji i korzeni wrastających w humus czasu ich tworzenia, kuszą swoją dynamiką niedookreślenia i abstrakcją, przez co zapraszają wielu i to zapraszają do samodzielnego nasycenia ich treścią. Takowe wezwanie-wyzwanie dla umysłu, brak komfortu barana w stadzie, za którego myśli führer, odmowa splendorów i orgii użycia po Zwycięstwie oraz ostrze krytyki wymierzone we wszelkich idoli i ideologiczne projekcje zagnieżdżone w polskiej świadomości zbiorowej, nie napędały nigdy wielu w krąg mandali RSA.

Czy RSA jest działaniem politycznym? Rzecz w tym jak rozumiemy pojęcie „polityka”. Podążając ścieżką wybiegającą z pism Machiavellego i Hobbesa dochodzimy do rozumienia polityki jako biegłości (techné) w zdobywaniu władzy i w samoutwierdzeniu się w jej sprawowaniu. Postępując dróżką zaczynającą się w wykładzie Arystotelesa docieramy do polityki pojmowanej jako nauka o dobrym i sprawiedliwym życiu w ramach ustanowionego porządku publicznego, jako spełnianie praxis racjonalnej troski o dobro wspólne. Pierwsza trajektoria myślowa wiedzie nieuchronnie do partyjności z jej arsenałem technik manipulacji; druga, od myśli Stagiryty, owocuje postawą zwaną dziś zaangażowaniem obywatelskim (civilitas). RSA, w swej praxis protestu i krytyki, nie zapominając o poiesis, kroczy ku „cywilizacji” świata przezeń przeżywanego.

Tak nam się jawi Ruch, gdy patrzymy nań leżąc na łące potoczności. Miło by tak się leżało, gdyby nie uwierający kamyk z napisem: czy RSA jest utopią? Czas zatem ruszyć w głąb puszczy metafizyki społecznej, aby odnaleźć inne pojmowania pojęcia „ruch”; tym, co obawiają się kleszczy niewiedzy polecam preparaty ziołowe.

Przypadłością ludzkiego umysłu jest potrzeba odpowiedzi na Pytanie; przybiera ono wiele szczegółowych i szczególnych sformułowań, jednak możemy je sprowadzić do postaci źródłowej: "Ale o co chodzi?". Przez wieki ludzie trudzili się odkrywaniem bądź nadawaniem znaczenia przeżywanej rzeczywistości, formowaniem kosmosu z chaosu, wynajdowaniem sensu wszechświata i umysłu człowieczego w nim bytowania. W toku tych mozołów narodziło się mniemanie, popularne w cywilizacji Księgi, że Odpowiedź została ongiś wypowiedziana i dana człowiekowi, lecz potem - w wyniku zbiegu wielu nieporozumień - zagubiona i od tej chwili żmudnie poszukiwana.

Odpowiedzi na Pytanie składają się na ruch pocztowy, na chmurę przesyłek wysłanych spoza bycia i rozpiętych w bytowaniu. Wyłania się idea metafizycznej telekomunikacji, w której odtwarzana i przekazywana jest wiadomość, w pełni okrzepła w swej idealności i transcendentnym rodowodzie, przenoszona przez czaso-przestrzeń w rozmaitych przekładach, powielana przez kopyistów, dekonstruowana i rekonstruowana, powierzana profesjonalnie szkolonym kurierom, poddawana cenzurze, reglamentacji i standaryzacji. Odpowiedzi, każda przeciw każdej, mizdrzą się do umysłu indywiduum i świadomości zbiorowej obietnicą swej zupełności i ostateczności. Ot, każda żyje uroszczeniem bycia Objawieniem, którego urzeczywistnienie ma przynieść człowiekowi i zbiorowości koniec wszelkich dolegliwych rozszczepień, zniewoleń i ucisków, przewyciężyć nędzę i kulawiki oraz przynieść ostateczne spełnienie w błogim bezruchu i jednostajnym samopomnażaniu. Odpowiedzi Objawione, można by rzec: Apokaliptyczne, zawsze roszczą sobie ukorzenie w niepowszednim i niepowszechnym wglądzie w pulsujące mięso egzystencji, w powieź dziejów czy w innobyty, co ma je uwiarygodnić oraz ich proroków i egzegetów.

Ów ruch pocztowy wykorzystuje jako wehikuł, a jednocześnie współtworzy, strukturę transmisji i interakcji, czyli stajemy w tym miejscu wobec...

## SPÓŁCZEŃSTWA

Tożsamość osobnicza i zbiorowa ustanawia się w relacjach dziejących się wobec i w zbiorowości. Widzimy pewną strukturę odniesień wzajemnych między kompetencjami komunikacyjnymi indywiduum (osobowość) a dostępnym zasobem wiedzy (kultura) i mechanizmami inkluzji i solidarności (społeczeństwo); widzimy system dystrybucji energii (produkcja motywacji i poparcia) i informacji (produkcja organizacji i kontroli), w postaci wytwarzania i odtwarzania tekstów kulturowych. Owa struktura, ład społeczny, wytwarza szereg utrwalonych praktyk (institucji), które są scalane przez porządek meta-institucji, czyli przez państwo. Niektórzy powiadają, że państwo jest smutną koniecznością wynikłą z przyrodzonej złej natury człowieka; inni zaś przekonują, że przeciwnie - państwo jest logiczną konsekwencją towarzyskiej natury człowieka. Pozwólcie, że tę polaną w puszczy metafizyki społecznej ominiemy, że nie będziemy wdawać się w toczące się tam spory ani im kibicować. Przyjmijmy, za Lockem, że społeczeństwo powstało z człowieczych potrzeb, a państwo z jego słabości.

Theatrum życia publicznego dzieje się między trzema aktorami: indywiduum, społeczeństwem a państwem; medium jest moc (Macht), meta-pojęcie łączące w sobie pojęcia: wpływu (auctoritas), władzy (potestas), rozporządzania (dominium) i rozkazywania (imperium) - ogólnie rzecz ujmując: możliwość czynienia rzeczy i sprawiania zdarzeń, przewaga w rozstrzygnięciu (decidere) i w ustalaniu pojęć (definire).

W czasach przednowoczesnych moc była po stronie twórców społecznych, wspólnot prywatnych - rodzina, osa-

da, miasto, gildia, cech, uniwersytet, stan i tym podobne formy panowania patrymonialnego - które to tworzyły, pozwólcie, że posłużę się kategoriami Habermasa, własne wzory zarządzania, moralności, ekspresji i komunikacji, regulujące relacje wewnętrzne i kontakty z Innym. Rewolucja przemysłowa, poprzez swoje osiągnięcia i skutki uboczne, spowodowała przesunięcie ośrodka mocy z dziedziny społecznej (agora, forum) do instytucji nowoczesnego państwa narodowego; wzorce zarządzania, moralności, twórczości i komunikacji zostały poddane kształtowaniu przez grę partyjną. Przełom XX i XXI stulecia to kolejna rozszada - ośrodek mocy wycieka z domeny państwa do dziedziny korporacji, i tych transnarodowych i tych wewnątrzpaństwowych. Moc, wydostawszy się z domeny państwa, nie powróciła jednak do dziedziny społecznej. Władają nią oligarchiczne ekscesy świata prywatnego, pozapaństwowe demiurgiczne nowotwory.

Wedle teorii demokratycznego państwa prawa, społeczeństwo ma kształtować swój publiczny świat przeżywany działając poprzez medium prawa na narzędzie, jakim jest państwo, utwierdzone na trzech suwerennościach: przemocy, kultury i gospodarki. Władza społeczeństwa nad państwem (demokratia) dawno stała się iluzoryczna, podobnie jak złudna jest dziś moc państwa w owych trzech suwerennościach. Demokracja pozbawiona jest mocy, a moc demokratycznej kontroli.

W triadzie indywiduum-społeczeństwo-państwo, wedle założeń demokracji, ma toczyć się dyskurs publiczny, którego wyniki, ujęte w językach normatywnych (moralność, prawo, religia), kształtują zakres samosterowności indywiduum oraz reguły gry (proces różnicowania) i rytuały (proces scalania) w przestrzeni publicznej. Dyskurs to gra odmienności, z których każda posługuje się względnie utrwaloną strukturą poznania i wartościowania (grammatike). Obecnie gra polityczna, namiastka dyskursu, siłą zbiorowej inercji nadal toczy się w mentalnych i instytucjonalnych ramach państwa, lecz demokracja pozbawiona mocy jest już tylko młynkiem międlącym jałową miazgę słów (parlatorium), a nie sprawczym dyskursem. Mamy do czynienia, w miejsce ludowładztwa, z władzą taktyk (technokratia) doraźnego reagowania na wyłaniający się kontekst sytuacyjny; o wyborach - osobistych i zbiorowych - coraz częściej nie przesądzą grammatykietyki, lecz sytuacyjne uwikłanie aktorów, które jest płynne i oderwane od ich wpływu.

W świecie władzy korporacji i taktyk dominuje perwersyjna racjonalność instrumentalna, która nie cofnie się przed genocydem, malwersacją, dyktaturą czy niekonkluzywnym bełkotem, aby odsunąć rozwiązanie problemu społecznego w czasie i przestrzeni. Państwo, skrywając swą niemoc, wyżywa się w produkcji taktyk dyscyplinującej parcelacji, cenzury powiązań, programowania i nadzoru, czyli w tym, co Foucault nazywa biowładzą, ustanawianiem mechanizmów przekształcających biologiczne cechy indywiduum i także potrzeby zbiorowości w przedmiot administracyjnych strategii i taktyk. Brak oporu społeczeństwa i jego świadomość zbiorowa pełna zmistyfikowanych figur i masek znacząco ułatwia te działania.

Powiązania i zależności w triadzie indywiduum-społeczeństwo-państwo jawią się niczym istny gąszcz lian. Moje odczytanie tegoż rebusu właśnie usłyszeliście. Każdy z nas inaczej odczytuje ową płataninę, lecz myślę, że łączy nas przekonanie o potrzebie rozwiązania...

## ALTERNATYWNEGO

Sokrates, krążąc po ateńskiej agorze, miał w zwyczaju brać szacownych obywateli w kleszcze swego rozumowania; zważywszy na profesję jego rodzicielki nazywamy to

metodą położniczą. Niewinnymi, zdaloby się, pytaniami o pojęcia proste, acz fundamentalne, doprowadzał on do skurczy umysłu, osłupienia, wyparcia, a wreszcie do uznania "dziecka": własnej niewiedzy, czym jest prawda, dobro, sprawiedliwość, równość, godziwy ustrój etc. Sokrates obnażał przed bliźnimi prawdę o złudności ich mniemań, o umowności pojęć, zawstydział i wytrącał z mentalnego błogostanu. Rozprawiał się w ten sposób z mniemańcami i uroszczeniami tych, którzy chcieli definiować i decydować o ustroju polis, ładzie społecznym i kondycji indywiduum. Ową praksis, podjętą przez licznych błaznów - z całą metafizyczną powagą tego pojęcia - warto odebrać z ruchu pocztowego. Co jest wynikiem Sokratesa? Zmieszanie i trwoga w obliczu braku zupełnej i ostatecznej Odpowiedzi. Owszem, lecz zrobivszy ruch naprzód znajdujemy konieczność dyskursu publicznego, swobodnej gry odmienności wolnych od uroszczenia Objawienia, potrzebę dyskusji wolnej od dyktatu uprzywilejowanej narracji (anarchia).

**R**uch pocztowy to mitotwórcza praktyka człowieka, zakorzeniona w doświadczeniu kosmicznych katastrofizmów i sytuacji granicznych. Mit tworzy struktury narracyjne i ideologiczne, scenariusze prywatne i matryce publicznych światów przeżywanymi. Realne lęki i pragnienia człowiecze, wyobcowane w mitach, stają się figurami i maskami obecnymi w świadomości tak osobniczej, jak zbiorowej. Ruchu pocztowego nie unikniemy - każdy bierze w nim udział, czy to bezwiednie, czy to z namysłem i uważnością. Brzmi to megalomańsko? Ejże! Chodzi tu o wykluczenie się świadomości własnej i swego udziału w zbiorowości, we wspólnocie i zrzeczeniu. Na figury i maski, pojawiające się jako wynik mitotwórstwa, spójrzmy przez okulary Junga, a mianowicie jako na Personę (samowyobrażenie), Cień (problem moralny), Duszę (samowiedza) i Mądrego Starca / Wielką Matkę (samospelnienie). Poszerzenie pola wolności, osobistej i zbiorowej, to ruch ku pełni samorozumienia i samospelnienia poprzez demaskowanie kolejnych złudzeń. Jest to ruch krytyczny, którego sednem jest wyzwajające z ułudy działanie Umysłu. Cała mądrość i cała świętość to tylko zygzaki błyskawic. Żadne z nich nie posiada rzeczywistości Umysłu, jak powiada Huang Po. Ruch ten prowadzi do uświadomienia nietożsamości rzeczy i przedstawienia, do zrozumienia, że oba są bytami nie posiadającymi własnej istoty, a mającymi jedynie znaczenie, jakie nadaje im Umysł.

**S**połeczeństwo samo w sobie, byt samoistny i ekstraludzki, nie istnieje. Każdorazowo mamy do czynienia wyłącznie z poszczególnymi polami zbiorowego dziania się, na których toczy się gra theoria i praksis różnorodnych grup społecznych, wspólnot i zrzeczeń. Ujawnia się tu nam znaczenie dyskursu, czyli wytwarzania wiedzy w komunikacji; obiekty i praktyki społeczne zyskują swe znaczenie dopiero w procesie interakcji, dziania się między ludźmi. Sedno mocy (Macht) tkwi w decyzji i definicji co jest mówione, kto mówi, kiedy i w jakich okolicznościach, w przyzwoleniach, tabuizacji i cenzurze. Czy partnerem w dyskursie jest Johny Rzekotka, uciekający przed większymi, pożerający mniejszych a kopulujący z równymi sobie? Czy polem dyskursu jest paidokratia, mass-kultura promująca cechy infant terible: bezrefleksyjną wesółkowatość i naśladowanie kreskówki, przerzutność fascynacji, traktowanie powagi i dojrzałości jako stygmatyzującego obciachu? Czy polem dyskursu jest technokratia, która sprowadza społeczeństwo do zbiorowiska istot zredukowanych do swej biologii (populatio), do przedmiotu marketingowych i administracyj-

nych taktyk wycelowanych w płciowość i płodność (sex), zdrowie i nałogi (drugs) oraz wolny czas (rock`n`roll)? Metabiologia, paidokratia i technokratia nie są zdolne wytworzyć nic poza ględzbą, nie są pojazdem wyzwolenia, ani osobistego ani zbiorowego.

**A**lternatywą nie jest kreślenie rozmaitych utopii - w oczach ich architektów bezdyskusyjnych eutopii - i ich mozolne wcielanie w życie. Solidarność, dyskurs, ludowładztwo itp. niemożliwe są do ustanowienia dekretem, a demiurg chcący to uczynić łatwo stoczy się w tyranie dobrych chęci; powszechnie znane prawo metafizyki społecznej głosi, że tempo wprowadzania ustroju szczęśliwości totalnej mierzy się szybkością budowy więzień dla jego przeciwników. Alternatywą jest odrzucenie ambicji zbawczych kratofanii, masek Prometeusza i Medei. Warto natomiast szerzyć praksis krytyki i protestu wobec Person i Cieni mistyfikujących świadomość. A stają się nimi status, pieniąż, władza, szkoła, giełda etc.; przybierają one wiele masek: Don Kichota (zrównanie prawomocności realu i ułudy), Ekonomoma (panopticalnego nadzorcy), Krzykliwego Kaprała, Ojca Narodu, Dobrego Pasterza, Super Nowej, że wspomnę tylko kilka przycho-dzących mi wprzódy na myśl. Kolonizacji świata przeżywanego przez owe majaki warto stawić opór krytycznym ruchem Umysłu, wedle tego, co Kalamitom zalecił Sid-dharta Gautama. Państwo, społeczeństwo, ego i moc istnieją same przez się, jako byt samoswój, o tyle, o ile nasze umysły w to wierzą i zgodnie z tą wiarą postępują. Tak jak malarz odczuwa przerażenie na widok budzącego grozę obrazu demona, którego sam namalował, tak i ignorant obawia się ułudy, którą sam stworzył swoją niewiedzą. Podobnie jak ignorant wpada w błoto, które sam uczynił, tak też istoty toną w błocie trudnych do przejścia wytworów umysłu - poucza nas Nagardżuna. Praksis krytyki i prote-stu otwiera przestrzeń do namysłu (theoria) i twórczości (poiesis), do tworzenia wspólnotowości i solidarności, do samorozumienia i samospelnienia. Ogólnie rzecz ujmując chodzi o małe akty i zdarzenia dowodzące istnienia alternatywy wobec bellum omni contra omnes, w której nagrodą jest podpaska z funkcją lobotomii i 666 kanałami TVstream. Chodzi o wysiłek stałej refleksji nad racjami idei obecnymi w świadomości i odtworzenie sprawczego dyskursu. Chodzi o przewyciężanie tego, co jest, dlatego, że jest. Chodzi o odzyskanie społeczeństwa jako wspólnotowego pojazdu wyzwolenia - poprzez poznanie, twórczość i interakcję - z ograniczeń stanu natury i down-presji między Panem, Wójtem i Plebanem. Nie chodzi o Nowy Wspaniały Świat (eutopia), lecz o rekreację i nowy początek, eschaton.

Być może w uszach niektórych z was brzmi to uczenie. Pamiętajcie jednak, że piszę to z perspektywy lat minionych i dzieł przemyślanych, zatem snadniej mogę rozjaśnić to, co kiedyś w slogany jeno ubrać umiałem, bądź co w werbalnie upośledzonych intuicjach chciało dojść do głosu, bądź wreszcie w nieświadomości, na leżakach, beztrudnie się rozpięrało. Nie jest to myśl roszcząca sobie status prawdy absolutnej, Objawienia wygrzebanego w poczcie pokoleń. Jest to głos, który chce się sprawdzać i hartować w dyskursie.

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego to spotkania i rozmowa, akcje i proklamacje - przeszłe i przyszłe. Darujcie mi, że nie bawiłem was uciesznymi anegdotami - pozostawiam to dziejopisom, z nadzieją, że ich harfa powtórzy owe uciechy i zdarzenia realno-magiczne, owe dreszcze gniewu i obawy na barykadach, szelest ulotek i szum życia (tej najbardziej upartej rzeczywistości), które to były naszym wspólnym doświadczeniem.

## ANI ZA, ANI PRZECIW, SWOBODNIE (I ODPOWIEDZIALNIE)! STANOWISKO RSA W/S NEUTRALNOŚCI PRAWA

### Totalizacja

Mimo pozornej demokracji wolnorynkowej żyjemy w świecie narastającego totalizmu fundamentalistów + politycznej poprawności, którzy dla naszego dobra (oczywiście, bo przecież nie chodzi im o ich własny interes ☺) chcą nam na siłę zrobić dobrze coraz to nowymi nakazami i zakazami. Bo, w gruncie rzeczy, nie ma większego znaczenia, czy państwo delegalizuje czy legalizuje kolejne obszary życia, skutek będzie ten sam, teraz to rządy i sądy będą decydowały, co mamy robić ze swoim życiem. Oczywiście dla fundamentalistów + politycznej poprawności to w porządku, bo liczą oni na to, iż to ich pomysł na nasze życie zwycięży w oczach rządzących i mas wyborców, ale oznacza to, iż ktoś (w tym jedna ze stron) musi przegrać, że ogół (jak w totalizmie władza) będzie jednostce narzucał, jak ma żyć, nie licząc się przy tym z jej zdaniem i wolą. I w tej sytuacji nie ma znaczenia, czy to zwolennicy, czy przeciwnicy np. pornografii, przymusu szkolnego, aborcji, obowiązkowych ubezpieczeń, eutanazji, małżeństw homoseksualnych, narkotyków, idei rasistowskich czy czego tam jeszcze, zwyciężą. Oznacza to bowiem zawsze, że ktoś (a zawsze będzie to także państwo) kogoś innego będzie niewolił, dlatego, że tamten czuje inaczej. Państwo w ten sposób przyzwyczai się jeszcze bardziej, że to urzędnicy decydują za nas w każdym aspekcie naszego życia, jak żyć, a społeczeństwo jeszcze bardziej odzwyczai się od decydowania o sobie, odpowiedzialności za własne życie, ograniczając się w swej aktywniejszej części do tego, by narzucić przy jego pomocy swój typ ingerencji w życie ogółu i nie próbując wyjść poza to, ku wolności.

### Etyka

Wolność to ciężki kawałek chleba, bo oznacza samodzielną odpowiedzialność za to, co się nam przydarza. Jeśli np. chcę ćpać, to muszę się liczyć z tym, że nikt nie będzie zobowiązany do udzielenia mi pomocy (czy tym bardziej - finansowania moich odlotów). Podobnie nikt nie ma obowiązku finansowania skrobanek, samobójstw na życzenie, czy nawet świadczenia tych usług za pieniądze, jeśli np. nie godzi się na zadawanie śmierci. Społeczeństwo nie musi też dbać o los kogoś, kto nie chciał się uczyć, płacić podatków czy składek ubezpieczeniowych... (ale to wcale nie musi oznaczać, iż nie może tego robić z miłości bliźniego czy kaprysu, tyle że zawsze jest to dobrowolną ofiarą tego, co daje). W zamian za to jednak nikt nam nie mógłby zakazywać żadnych używek, wagarów, aborcji, gadania o Żydach i masonach itp. Albo inaczej, nikt nie mógłby tego robić w sposób powszechnie obowiązujący, tak jak ma to miejsce w państwie, bo oczywiście w swoim domu czy gminie każdy mógłby co zechce sobie robić, w swojej knajpie sprzedawać trawę lub zakazać jej sprzedaży czy palenia, w swojej klinice dokonywać zabiegów lub nie - nie miałoby to bowiem znaczenia, jeśli mógłbym znaleźć gdzieś jakąś alternatywę. Oczywiście może się zdarzyć, iż nie znalazłbym jej nigdzie i bardzo dobrze, bo jeśli w jakiejś kwestii panuje powszechna zgoda, to nie jest to ten moment, który tu chcemy poruszyć (czemu? O tym dalej). Tu idzie o sprawy, co do których nie ma zgody w najmniejszym stopniu - nie mamy nic przeciwko temu, by państwo, póki istnieje, czy też samo społeczeństwo ścigało przestępców, a więc tych, co pozbawiają innych życia, zdrowia, wolności i mienia. Oczywiście to społeczność ustala, co pod tymi pojęciami rozumie, ale nie zawsze panuje w tej kwestii zgoda.

### Chaos

Klasycznym przypadkiem są tzw. przestępstwa bez ofiar, ściślej takie, gdzie człowiek sam sobie robi (zdaniem innych) krzywdę, kiedy np. ćpa (czy pije samogon), prostuuje się, czy popełnia samobójstwo. Także w sytuacji, gdy jedynym poszkodowanym jest państwo, bo ludzie nie chcą płacić podatków, służyć w armii czy poddać się indoktrynacji w szkole, nie widzimy powodu, by kogoś za to ścigać, choć w oczach wielu może być to brane za zdradę kraju, a szkodenie sobie za pozbawianie go jego obywateli, istnych niewolników. A że wiele z tych przestępstw ma coraz powszechniejszy charakter i jednocześnie nie spotyka się z powszechnym potępieniem, dowodzi, że coś jest tu nie tak. Podobnie niejasna jest sytuacja z aborcją - dla jednych to zabijanie dzieci, dla innych kwestia wolności kobiety do decydowania o własnym ciele. Także wśród nas nie ma w tych sprawach jednoznacznego stanowiska, są absolutni abstynenci i ci, co lubią sobie zapalić (o, to nie jest tytoń ☺), jedni mogą zaakceptować, że ktoś jawnie nie lubi ich czy innych ludzi (o ile nie narzuca się z tym, czy nie wyraża tego przemocą, ale to już bezdyskusyjne przestępstwo), inni akceptują aborcję itd., itp. Tu idzie nam o to, by wznieść się ponad swój prywatny światopogląd i spróbować szukania rozwiązań na skalę szerszą (co można nazwać światopoglądem publicznym). Mamy bowiem świadomość, iż nasze poglądy są nasze, nie jedynie słuszne (tak samo jak to, że wolność nie musi oznaczać dobra i może się okazać, że nie ma innego wyjścia jak system, by ludzie się wzajemnie nie zarzynali, w imię swych obsesji, nie chcąc zrozumieć innych). Zaczynamy zaś od spraw, co do których brak konsensusu, bowiem tam właśnie brak równowagi sprawia, że nawet drobne działania mogą więcej zdziałać niż w kwestiach, co do których ogół kupił bajkę, iż bez państwa żyć się nie da.

### Neutralność

Nasz pomysł jest wielostopniowy. Stopień najprostszy to forma, którą mogłoby zaakceptować nawet państwo, które na serio byłoby emanacją społeczeństwa - każdy płaci za siebie. Idzie tu zarówno o (nazwijmy to) klienta, jak i producenta. Państwo (czy też społeczność) wymaga, by ci, którzy wprowadzają na rynek jakiś towar (drugi, auta, butelki z piwem i reklamowane śmieci etc.) musieliby opłacić zgodę na ich dopuszczenie do obiegu, ponosząc rzeczywiste koszty społeczne danej aktywności. W wypadku dilerów np. byłoby to koszt leczenia ćpuna, sprzedawca piwa czy mleka płaciłby za utylizację opakowań, o ile nie skupiłby ich z powrotem, producent aut - budowę dróg, odśnieżania, pomocy ofiarom wypadków, zanieczyszczenia powietrza itd., itp. Mogłoby dzielić koszt z klientem, wliczając to w koszt towaru (jak ktoś chce sam z czegoś korzystać, powinien sam za to zapłacić). Można też zrobić tak, że (gdy ogół nie akceptuje danego pomysłu w sposób jednoznaczny) ofiara tego (ćpun, pijak, ktoś, kto się nie ubezpieczył czy nie płacił podatków na to, by go leczono) sama ponosi koszt swjej niefrasobliwości (inni mogą go co najwyżej dobrowolnie wesprzeć, jak my meneli, karmiąc ich w akcji Jedzenie Zamiast Bomb, co wspominamy, by pokazać, iż nie idzie nam o egoizm w duchu libertarian). Ale jak wspomnieliśmy to pomysł w stylu etatystycznym, nie wolnościowym, możliwy do realizacji tam, gdzie jest zgoda w ocenie danej działalności, pomysł na uczciwe państwo - płacę i wymagam, jestem wolny od opłat - odpowiadam sam za siebie. Stopień następny to odejście od prawa publicznego do prywatnego.

Miał karąć obligatoryjnie każdego, kto robi coś, czego kto inny nie akceptuje, rząd (ogół obywateli) uznaje się za niekompetentny w poszukiwaniu jednej - jedynie słusznej - odpowiedzi na wszystkie pytania. Każda sprawa jest rozpatrywana indywidualnie. Jak np. ktoś czuje się pokrzywdzony przez producenta tytoniu czy kompotu, uważa, że sekta porwała mu bliskiego, przeszkadzają mu obrazki z golasami, ma żal do kobiety, iż pozbawia go dziecka itd., to nie krzyczy od razu, żeby zakazać powszechnie obowiązującym prawem karnym każdego drażniącego, sekty, pornololki czy aborcji, ale wskazuje konkretnego winnego i na podstawie prawa cywilnego idzie z tym do sądu w swojej tylko sprawie. Może innym te niby-przestępstwa nie przeszkadzają - czemu im narzucać swoje rozwiązanie jako słuszne?

### Kompromis

Czemu jednak ludzie (zwłaszcza urzędnicy) mieliby się zgodzić na to, by nie wtrącać się w życie innych? Jest kilka powodów, a najprostszy to koszty. Ściganie handlarzy narkotyków (dawniej i alkoholu) nie kładzie kresu nałogom, za to rozwija przestępczość (ryzyko sprawia, iż cena za towar jest duża, co zwiększa chęć pójścia ludzi tą drogą, możliwości dla korumpowania policjantów, polityków etc.), zwiększa ilość chorób (gdy towar nie jest legalny jego jakość jest niższa), a zatem i koszty leczenia. Ściganie aborcji nie kładzie jej kresu za to rozwija podziemie aborcyjne, ceny rosną a jakość usług spada, aż po próg zagrożenia życia pacjentki, co trudno uznać za obronę każdego życia. Podobnie w innych sprawach o niejednoznacznie społecznym odbiorze (nawet, kiedy nam wydaje się on oczywisty). Koszta mogą wynikać też z naprawiania skutków przymusu państwa (sądzimy, iż jest nieuczciwe, by żądać urodzenia dziecka, a nie dać kasy na jego utrzymanie), także, gdy wygrywa nie fundamentalizm a polityczna poprawność (uznanie małżeństw homoseksualnych oznacza, że w razie niewywiązywania się jednej ze stron po rozwodzie koszt ma ponieść państwowy fundusz alimentacyjny, co nie tylko zmniejszy kasę dla tradycyjnych rodzin, ale i zwiększy ilość więźniów siedzących za to na nasz koszt). Kosztami jest też rozpętywanie co jakiś czas dyskusji w tych sprawach, gdy w ważniejszych dla ogółu kwestiach (tego, że ludzie są biedni a rząd wydaje kasę na bzdury) lewicowym czy prawicowym rządowi idzie nie tak. Dla stron konfliktu kosztem może być też ryzyko przegranej (a że mamy demokrację co cztery lata istnieje ryzyko zmiany przepisów prawa, co tylko podważa jego poszanowanie, bo jak można szanować coś tak niesteżego, zwłaszcza, gdy mniej więcej połowa ludzi się z tym nie zgadza, a postawa ta przenosi się na całość prawa, także w tych kwestiach, gdzie kiedyś panowała zgoda w ocenie przestępczego charakteru czynów). Czy nie prościej uznać, że to nie nasza sprawa i nie wtrącać się w cudze, zwłaszcza, gdy nie chcemy ponosić kosztów tego?

### Wolność

Pomysł maksimum jest prosty, władza precz! Ale, iż od czegoś trzeba zacząć, proponujemy najpierw, aby zrezygnować z regulacji prawnych (i to zarówno za, jak i przeciw narkotykom, ściganiu za poglądy, eutanazji, aborcji, pornografii, przymusowi szkolnemu, ślubom homoseksualnym, prostytutce, obowiązkowi ubezpieczenia etc.) tam, gdzie brak konsensusu społecznego w kwestii uznania wyżej wymienionych czynów za nie- lub -legalne, nie- lub -moralne etc. Niech każdy człowiek rozstrzyga we własnym sumieniu, a każda sekta na swój własny użytek te kwestie i po swojemu żyje u siebie, nie narzucając swych rozwiązań innym. Nic tu nie byłoby zakazane, ale jednocześnie nic nie byłoby uznane za legalne, czy wręcz naka-

zane, by nie gwałcić sumienia i wolności innych. Jak np. homoseksualiści chcą sobie zrobić show na nową drogę życia, niech im da ślub ich własny kościół, jak go nie mają - niech go sobie zrobią i nie zwracają głowy innym (sprawy majątkowe itp. może rozwiązać umowa cywilno-prawna). Jak ktoś chce dokonać aborcji, niech za nią płaci a nie żąda na to kasy od ogółu (w tym tych, którzy są jej przeciwni), jak koszt za duży, to niech myśli co robi, idąc do łóżka, albo wykupi sobie polisę dla nieodpowiedzialnych (anty)matek. Jak ktoś ćpa, niech sępi kasę na dworcu i nie dziwi się, że ktoś mu nie da, odpowiadając, że sam zarabia na swoje narkotyki (albo kupując towar odkłada w banku drugie tyle na czarną godzinę z zastrzeżeniem, że wypłata może się odbyć tylko dla szpitala czy przytułku). Itd., itp. Tylko tak (nie wtrącając się w cudze i o własne dbając sprawy) możemy być wolni, zaś swoje poglądy i postawę nazywać wolnościowymi, wszystko inne to bajki fundamentalizmu + politycznej poprawności, dzięki czemu (zakazami + nakazami) system trwa i rządzi.

Gdańsk, czerwiec '83 r.

Człowiek współczesny jest zniewolony. Nie mogąc rozwinąć w pełni swej osobowości czuje się źle, obco, zatracca wiarę w sens życia. Źródłem zniewolenia jest kultura europejska. Stworzone przez nią mity, a głównie rzekoma konieczność istnienia władzy, tłumią każdy objaw własnego czynu i myśli. Kultura stwarza przeświadczenie o niemożliwości jakichkolwiek zmian. Zwątpienie i strach przed naruszeniem starego porządku rodzi zdeindywidualizowane, oglupiałe społeczeństwo mas, które zmianę hierarchii wartości, czy tworzenie nowych mitów, nazywa rewolucją. Ponowne rozdanie tej samej talii kart zadowolić może jedynie pokolenie rewolucjonistów. Rewolucja służąca interesom k a a z d e g o Człowieka musi trwać permanentnie, obejmując głównie sferę ducha i myśli. Nie może mieć na celu zdobycia władzy. Dlatego za jedyny środek służący wyzwoleniu Człowieka uważamy odrzucenie tradycyjnych wartości kultury i wytworów cywilizacji europejskiej. Przeciwstawiamy jej ideę Społeczeństwa Alternatywnego, w którym j e d y n a wartością byłby Człowiek - z prawem do swobodnego rozwoju w i a s n e j indywidualności. Uważamy, że Człowiek ma prawo nie tylko kulturować, lecz również tworzyć w i a s n ą kulturę, religię, światopogląd, w i a s n y etos życia.

Negujemy wszystko, co ogranicza Wolność, łącznie z państwem i wszystkimi wobec niego obowiązkami. Każda forma władzy jest bezprawiem i barbarzyństwem; socjalizm i demokracja to - w najlepszym wypadku - tyrania większości. Nawet jeżeli na sto jednostek, dziewięćdziesiąt dziewięć kieruje myślą lub losem jednej, to nie można mówić o Wolności i Sprawiedliwości.

Odrzucamy wszelką własność, pieniądź, ekonomię opartą na chęci zysku i wzrostu. Służy ona wyłącznie interesom właścicieli, a przede wszystkim państwa, utrzymując i rozbudowując nikomu niepotrzebne armie, potencjał militarny, aparat przemocy. Wojny - oto jedyny skutek "uczciwej i rzetelnej" pracy. Produkcji strycków na własną szyję przeciwstawiamy pracę dobrowolną i twórczą, której celem byłoby zaspokojenie duchowych i fizycznych potrzeb Człowieka.

Negujemy wszelkie hierarchie, podziały i wartości, jako relikty totalitarnej kultury, bezpodstawnie dyskryminującej Człowieka. Ocenianie Człowieka na podstawie stopnia wykształcenia, dochodów, wyznania, poglądów, klasy, rasy, czy narodowości, dzielenie społeczeństwa na masy i elitę, normalnych i nienormalnych, ... itd, itp, to właściwości ludzi zniewolonych, którym schemat i propaganda zastępuje myślenie. Przede wszystkim jest się Człowiekiem, a dopiero potem Żydem, komunistą, katolikiem, chłopem czy homoseksualistą.

Jesteśmy ruchem pacyfistycznym. Potępiamy jednak nie tylko wojnę i obowiązek służby wojskowej, lecz również źródło konfliktów - państwo, jego politykę i ekonomię. Nie znamy jednakże pojęcia "pokój za wszelką cenę".

Jesteśmy ruchem rewolucyjnym, lecz nie chcemy władzy. Dążymy do uzyskania wolności pełnej i powszechnej poprzez:

--- zwalczanie wszelkich przejawów propagandy (bez względu na to, czy jest to dziennik telewizyjny, reklama elektrycznej szczoteczki do zębów, czy kazanie z ambon);

--- odrzucenie nieludzkich wytworów kultury i cywilizacji;

--- rozwój samoświadomości i umiejętności tworzenia własnego

JA.

Jesteśmy także ruchem anarchistycznym. Władzę i - motywującą jej niezbędność - kulturę uważamy za źródło zła, lecz nie popieramy przemocy i terroru - walczymy jedynie na polu kultury i świadomości.

### Ruch Społeczeństwa Alternatywnego

(-) Adam Rabe (Jasiu Waluszko)  
Jerzy Delimski (Wojtek Jankowski)  
Piotr Łubik (Czarek Waluszko)  
Marcin Pecko (Krzysiek Skiba)



TAJNE  
Egz. pojedynczy.

NOTATKA SŁUŻBOWA

Z dotychczasowych ustaleń w sprawie jak i uzyskanych nie-potwierdzonych informacji wynika, że czasopismo "HOMEK" jest pismem ~~xxx~~ nielegalnej grupy byłych lub aktualnie czynnych harcerzy. Pod powyższą nazwą może kryć się utajona nazwa czytająca od tyłu. "HOMEK" -

- K - Konspiracyjna
  - E - Elitarna
  - M - Młodzieżowa
  - O - Organizacja
  - H - Harcerska
- Konspiracja - Elitarna*  
*Metodyczna Organizacja*  
*Harcerska*

osoby związane z tą organizacją w/g uzyskanych informacji noszą na garderobie stylizowaną lilijkę harcerską z wkomponowanym znakiem Polski Walczącej tzw. "kółwice"

SPORZĄDZIŁ.  
mł.insp. Wydział III Sek. II-1  
mł.ohcr. Mularczyk Mirosław

p.s.z. balanżki na noc wycofał się mick, co obniżyło polityczny wymiar zdania, a chudy z nerw podarł banknot, którym płacić miał za dowóz do grandu.

DRAMATYCZNA PRÓBA PRZESZCZEPU ALTERNATYWNYCH POMARAŃCZY POZA WOLNE MIASTO WR OCŁAW - SOPOT, MARZEC/KWIECIEŃ \$1988r.

ARCHEOLOGICZNY METAFIZYKI SPOŁECZNEJ --  
Grupy: Di-da, raport N° 1, marzec '88  
**ŚWIĘTO WIOSNY**  
ALBO GENERAL MARZANNA i  
POCZUCIE HONORU

Do powitania Wiosny przygotowywano się od dawna, szczególnie intensywnie w tygodniu poprzedzającym samo zdarzenie. 19 marca **PACYFIŚCI**

urządzą "balanżkę" u Galla na "powitanie wiosny", każdy miał przynieść po dwie potrawy, zrzuca na piwo po 2200,- /niepiwni -200,-/. Wszystko przebiegało normalnie, wieczorem część wraca do domów, część /8 osób/ zostaje na noc - jutro /20.03/ ma być ciąg dalszy, póki co - idą spać. W tym samym czasie solanarchiści na swym ostatnim koncercie wzywają do zbiorowego, wiosennego szaleństwa. 20 marca **POLICJA WARUJE**

Jest siódma rano, pukanie do drzwi - nikt nie reaguje. Drugi raz: "Kto tam?" - "Policja!" - "Nie umawiałem się z wami..." Trzeci raz: "...bo wyważymy drzwi!" - gospodarz, za radą skacowanego ale już przebudzonego pokotu, o twiera. W drzwiach stoi siedmiu "komandosów" z brygady antyterrorystycznej - w hełmach, z pistoletami maszynowymi, bagnetami, a ten na czele z wielkim, biało-czerwonym toporem. Po chwili pojawia się "bezpieka" - zatrzymanych i skutych odwozi na komisariat w Sopocie, potem do Gdańska. W mieszkaniu "kocioł" - wpadają przypadkowi goście i osoby, które przyszły na c.d. "imprezy"/nb. "bezpieka" pomyliła chyba namiary i "balanżę" wzięła za "zadymę"; na wszelki wypadek zOMQ już 20.03 obstawia Sopot/4. Podobni goście odwiedzają kilka innych mieszkań, gdy gospodarza nie ma w domu - drzwi otwierają zomowskie siekiery. Łącznie zatrzymano 21 osób /w tym stud

entka z Kanady/. 7 z nich postawiono przed kolegium /za posiadanie peruki, pisma wegetariańskiego, stare j bibuły itp. po 50 tys. od osoby/. Większość zostaje zwolniona późnym wieczorem 21 marca. Próba obalenia ustroju bez użycia przemocy została udaremniiona...?! W tym momencie do akcji wkracza **MŁODZIEŻ WALCZĄCA i ANARCHIŚCI**

którzy z pomocą politycznych już od kilku dni kolportowali /głównie w szkółkach/ plakaty wzywające do utopienia Marzanny - znakiem rozpoznawczym jej przeciwników miały być ciemne okulary, zwolenników - niebieskie mundurki. Przewidywano bowiem sąd nad Marzanną /z udziałem sędziego, obrońcy, prokuratora i odwołaniem się do publiczności - wiele osób było przeciw karze śmierci, za ulaskawieniem/, ale z braku pacyfistów - zliczowano Generała. 20 marca, klucząc między patrolami ZOMO, części Marzanny docierają na lokal w Sopocie. Wracającym na dworzec trafia się za bawna scena - w pewnym momencie biegnie ku nim 4 zomowców, nie patrząc jednak na nich, lecz za siebie, gdzie zgromadziło się trochę ludzi. Po chwili okazało się, że jakaś babcia rzuciła z okna na głowę zomowców mokry chleb dla gołębi, a oni myśleli że właśnie "zaczęło się!"

**21 MARCA - Godz. 16**

Sopot, Monte Cassino. Na długo przed rozpoczęciem akcji pojawiają się grupy głównie młodych, roześmianych ludzi - przechadzają się lub stoją w różnych miejscach deptaku. Co kilka kanaście metrów stoją patroli ZOMO - polowe mundury, długie, szturmowe pały - w bocznych uliczkach szeregi policyjnych wozów, w nich kaski, tarce... Zomowców wspierają stada tajniaków, są wszędzie /gość wchodzi do WC i słyszy: "04...04 zgłoś się"/ fotografują, legitymują, próbują za trzymać. Podejrzani są wszyscy: w cieżka z RFN w ciemnych okularach, dzieci z podstawówki, które szły na Molo z wychowawczynią i Marzanną, a przede wszystkim "ślepa" młodzież. Kiedy oczekiwanie na pacyfistów okazuje się daremne /ktoś informuje o zapance/, a harcerze nie ujawniają się, kilka osób zastanawia się co robić? Ktoś proponuje by jechać do Gdańska na Długą - był tam przed chwilą, nie ma policji. Na "Monciaku" nic się nie uda - pada propozycja, by iść na Molo i tam zdecydować wspólnie co dalej. Grupa rusza w dół deptaka. "Jak na Marzannę to na Molo"



**WOJSKO...** BIORĄ WSZYSTKICH, PÓJDZIESZ I TY. NAJPIERW OBEJNA WŁOSY I UBIORĄ W MUNDUREK, POTEM - GDY TĘPA TRESURA ZŁAMIE CI KARK - KAŻA WYKLEPAĆ FORMUŁKĘ O WIERNOSCI WOBEC SOCJALISTYCZNEGO PAŃSTWA.  
**NAUCZA CIĘ ZABIJAĆ** - ŻEBYS NIE CHYBIŁ, GDY STANIESZ NAPRZECIW STRAJKUJĄCYM.  
**NAUCZA CIĘ POSŁUCHU** - ŻEBYS NIE MIAŁ ŻADNYCH SKRUPUŁÓW.  
**OTUMANIA PROPAGANDA** - ABYS UWIERZYŁ, ŻE TWÓJ OJCIEC, BRAT I PRZYJACIELE SĄ »WROGAMI KLASOWYMI!...  
**POMYŚL O TYM** - ZANIM PRZEKROCZYSZ BRAMĘ KOSZAR.  
**WALKĘ O ZNIENIENIE PRZYMUSU SŁUŻBY WOJSKOWEJ I MOŻLIWOŚĆ ODPRACOWANIA JEJ WYGRALI JUŻ NASI BRACIA W NRD.**  
O TYM, CZY UDA SIĘ TO RÓWNIEŻ NAM - ZADECYDUJE TWOJA POSTAWA.  
**RUCH SPOŁECZEŃSTWA ALTERNATYWNEGO**

-mówią przechodniom o "podejrzanych" wyglądzie - wkrótce idzie z nimi kilkadziesiąt osób. Trzech ludzi bocznymi uliczkami przekrada się do lokalu, biorą pudełko z częściami kukiełki i 3-metrowy drąg - niestety, podwórko jest szczególnie obstawione. Szczęśliwym trafem nadjechał samochód: "chce pan zarobić 2000 zł.?"-"Za co?"-"Podrzuciłby pan nas do Grandu?"-"Opłaca się wam?"-"Opłaca, opłaca..."Wysytający przez okno kij zwraca uwagę drogowki: "Proszę się nie obracać i dodać gazu!"-"A to nie wybuchnie?"-"Nie, to raczej takie wiosenne..." Po chwili, na plaży, Marzanna zostaje zmontowana i ukryta, a goście idą na Molo do czekających tam ludzi. Kilkanaście osób przy pomocy gwizdów i okrzyków pociąga za sobą zgromadzonych w kierunku plaży przed Grand Hotelem, zamaskowany chłopak podejmuje ze śniegu Marzannę w ciemnych okularach Generała. Za tłumem rusza ZOMO. Ludzie idą plażą wzdłuż morza, skandując: "Zima wasza-wiosna nasza", "Znajdzie się pała na dupę Generała". ZOMO jedzie równoległymi do plaży alejkami parku. "Bezpieka" już wcześniej zgarnia ludzi, jednego odbija grupa młodzieży - oklaski! ZOMO przyspiesza, ludzie chwytają się za ręce, skandując: "Utopimy Generała!" Człowiek z Marzanną biegnie w kierunku morza, za nim zomowicze - kilka kopów i już nie goni, za to Marzanna pływa w morzu. Dwóch policjantów rozmawia przez radio: "Słuchaj, oni topią naszego Generała!"-"Martwisz się, będzie o jednego skur...mniej". Mimo to policjanci rzucają się do wody i wyciągają kukiełkę. Honor Generała jest uratowany, śmierć następuje z braku poczucia humoru. ZOMO pakuje - ludzie rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Policja próbuje przeciąć drogę najaktywniejszej grupie, biegnącej w kierunku Kamienno-go Potoku i wykrzykującej pod adresem policji obelgi, część grupy zawraca i na pałowanie bezbronnych odpowiada siłą. Ci, którzy pobiegli w kierunku Mola - a była ich większość - na ogość wychodzą cało. W sumie zatrzymano ponad 50 osób, część /głównie młotni i kobiety/ zostaje zwolniona jeszcze tego samego dnia, połowę jednak zatrzymano dłużej /do 48 godzin/ 11 z nich postawiono w środę przed kolegium /po 50 tys., jedna osoba 30, bo adwokat dowiódł niezgodność zeznań zomowców - wszyscy złożyli odwołania/, a jedna osoba /Tadek Trocki/ ma stanąć przed sądem za pobicie gliny. Kilka osób przy zatrzymaniu zostało dotkliwie pobitych, kogoś zabrała ka-

retka pogotowia. Mimo to samopoczucie uczestników happeningu /nawet tych, którzy oberwali/ jest lepsze, niż spacyfikowanych w niedzielę pacyfistów, czy policji, która mimo zmobilizowania potężnych sił ZOMO, SB i "komandosów" nie potrafiła zapobiec rozprzestrzenieniu się "zarazy" pod nazwą **POMARAŃCZOWA**

## ALTERNATYWA

/trudno uznać za sukces pozbawienie happeningu części parateatralnej i sprowokowanie ulicznej "zadymy", zwłaszcza w Trójmieście/. W samym Wrocławiu ludzi było więcej -ok. 3 tys. nieśli trzy "ślepe" Marzanny- a policja mniej agresywna -ok.150 zatrzymanych zwolniono jeszcze tego samego dnia. Wznoszono okrzyki: "Uwolnić więźniów satyrycznych", "Uwolnić Frydrycha" /Waldemar Frydrych - "Major", przywódca krasnali - został zatrzymany 8 marca i skazany na 2 miesiące aresztu/. Także w Krakowie ZOMO rozprędkowało kilkadziesiąt osób topiących Marzannę-Gorbaczowa. We wtorek przed siedzibą Interpressu w Warszawie, na powitanie Urbana przybyło z Wrocławia kilka "wdów" po Majorze o płakających swego przywódcę. Sam Urban niewiele miał do powiedzenia, może dlatego, że jego "uszom" z PAP-u zabroniono na kolegium robić notatek.



PS. Około miesiąc temu w Sopocie miał miejsce pierwszy na Wybrzeżu happening "krasnali" /zorganizowany przez harcerzy i pacyfistów/: "śmierć ostatniego węgorza". Na transparentach widniały hasła: "Ryby - tak, wy paczenia-nie!", "Precz z centralą - rybnią!", "Już powszechnie mówią:Di-da". Na pojawienie się milicji ludzie zareagowali okrzykiem: "Precz z rybakami!" Nikogo nie zatrzymano. Bliższych danych o akcji brak, ponieważ organizatorzy nie opublikowali żadnej relacji. Są za to zdjęcia.IV.



Statut Ruchu Alternatywnego uchwalony na zjeździe jesienią 1986 (dotychczas nieopublikowany z braku miejsca na takie formalności i duperele).Red.

1. tworzy się ruch społeczeństwa alternatywnego
2. uczestnikami ruchu jest każdy kto w danej chwili coś dla ruchu robi
3. łączy nas nie idea a współdziałanie dla wspólnego celu (każdy ma prawo do posiadania, głoszenia i urzeczywistnienia swoich ideałów - inni akceptują to prawo)
4. celem ruchu jest wolność, pokój i chleb
5. drogą do celu jest wolna wola czyli świadoma aktywność
6. kieruje ruchem ten kto w danej chwili coś dla ruchu robi - inni w dobrym pójdą za nim
7. nikt nie jest zobowiązany przestrzegać punktów 1-6 ! R.S.A.

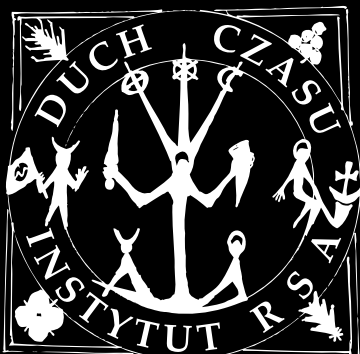
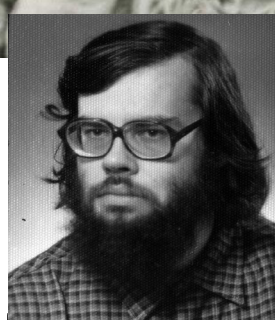
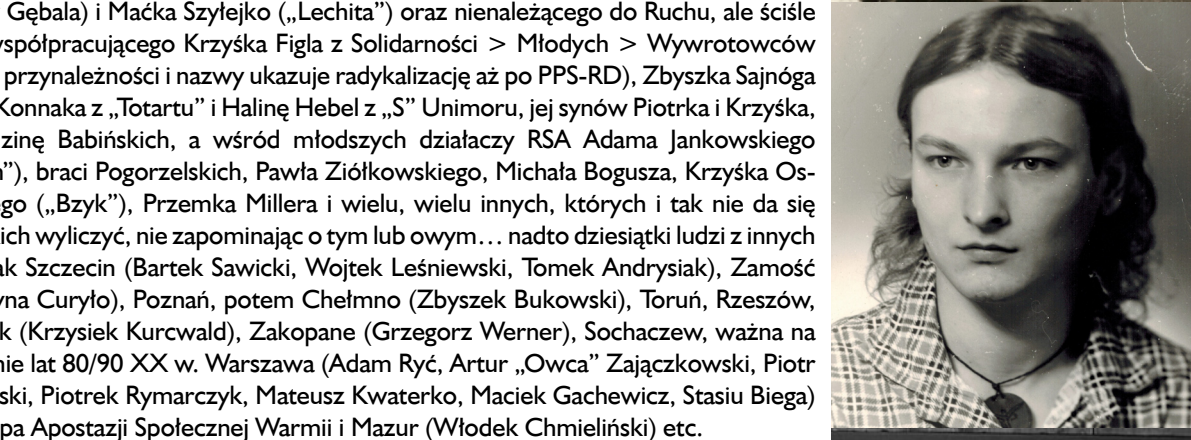
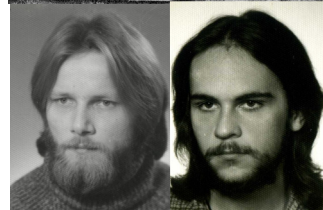
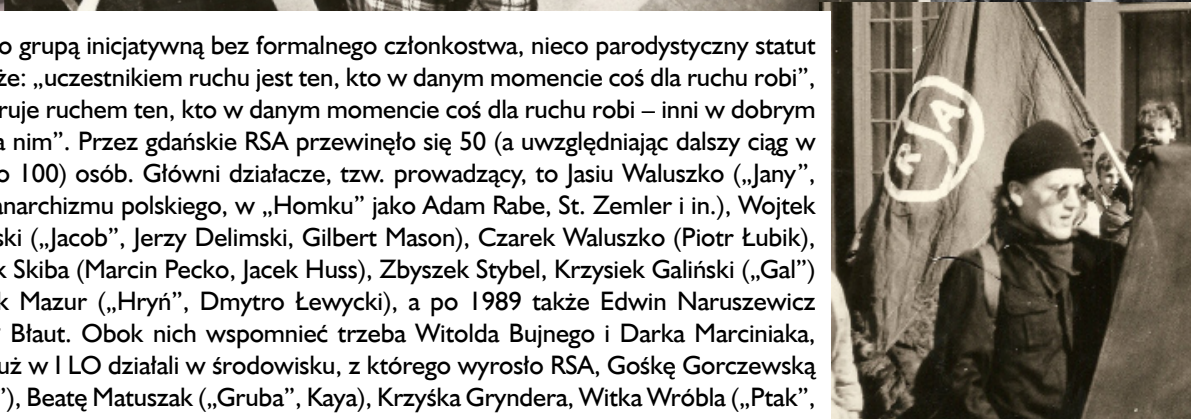
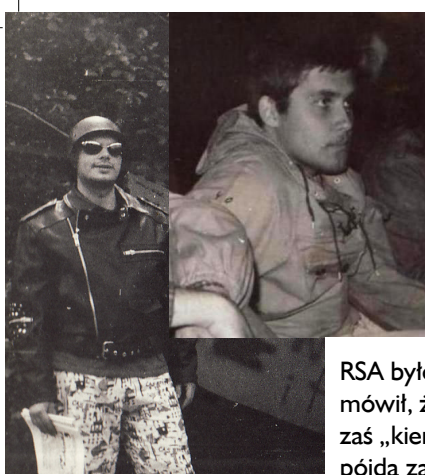
# HOMEK

"Każdy /.../ Człowiek ma prawo nie tylko kultywować, lecz również tworzyć własną kulturę, religię, światopogląd, własny etos życia."

PISMO RUCHU ALTERNATYWNEGO ROK XXX NR 52 GDAŃSK 17 PAŹDZIERNIKA 2013

# LUDZIE

RSA było grupą inicjatywną bez formalnego członkostwa, nieco parodystyczny statut mówił, że: „uczestnikiem ruchu jest ten, kto w danym momencie coś dla ruchu robi”, zaś „kieruje ruchem ten, kto w danym momencie coś dla ruchu robi – inni w dobrym pójdą za nim”. Przez gdańskie RSA przewinęło się 50 (a uwzględniając dalszy ciąg w III RP do 100) osób. Główni działacze, tzw. prowadzący, to Jasiu Waluszko („Jany”, papież anarchizmu polskiego, w „Homku” jako Adam Rabe, St. Zemler i in.), Wojtek Jankowski („Jacob”, Jerzy Delimski, Gilbert Mason), Czarek Waluszko (Piotr Łubik), Krzysiek Skiba (Marcin Pecko, Jacek Huss), Zbyszek Stybel, Krzysiek Galiński („Gal”) i Wojtek Mazur („Hryń”, Dmytro Łewycki), a po 1989 także Edwin Naruszewicz i Michał Błaut. Obok nich wspomnieć trzeba Witolda Bujnego i Darka Marciniaka, którzy już w I LO działali w środowisku, z którego wyrosło RSA, Gośkę Gorczewską („Cegła”), Beatę Matuszak („Gruba”, Kaya), Krzyska Gryndera, Witka Wróbla („Ptak”, Wacław Gębała) i Maćka Szyłejko („Lechita”) oraz nienależącego do Ruchu, ale ściśle z nim współpracującego Krzyska Figla z Solidarności > Młodych > Wywrotowców (zmiana przynależności i nazwy ukazuje radykalizację aż po PPS-RD), Zbyszka Sajnoğa i Pawła Konnaka z „Totartu” i Halinę Hebel z „S” Unimoru, jej synów Piotrka i Krzyska, czy rodzinę Babińskich, a wśród młodszych działaczy RSA Adama Jankowskiego („Bekon”), braci Pogorzelskich, Pawła Ziółkowskiego, Michała Bogusza, Krzyska Ossowskiego („Bzyk”), Przemka Millera i wielu, wielu innych, których i tak nie da się wszystkich wliczyć, nie zapominając o tym lub owym... nadto dziesiątki ludzi z innych miast, jak Szczecin (Bartek Sawicki, Wojtek Leśniewski, Tomek Andrysiak), Zamość (Katarzyna Curyło), Poznań, potem Chełmno (Zbyszek Bukowski), Toruń, Rzeszów, Białystok (Krzysiek Kurcwald), Zakopane (Grzegorz Werner), Sochaczew, ważna na przełomie lat 80/90 XX w. Warszawa (Adam Ryc, Artur „Owca” Zajczkowski, Piotr Salwowski, Piotrek Rymarczyk, Mateusz Kwaterko, Maciek Gachewicz, Stasiu Biega) czy Grupa Apostazji Społecznej Warmii i Mazur (Włodek Chmieliński) etc.



P I S M O   B E Z P Ł A T N E  
Numer niniejszy wydajemy nakładem  
dobrego wujka z Ameryki – Hrynia.  
Skład i redakcja – Bełt i Jany – RSA.  
[www.labestia.pl](http://www.labestia.pl) \*\*\* [www.moje-miasto.org](http://www.moje-miasto.org)  
kontakt: [homek@labestia.pl](mailto:homek@labestia.pl)